ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 2(70)2021



ZAPOMNIANE IMIONA:

HRABIA MARIAN HUTTER-CZAPSKI
– PISARZ, NAUKOWIEC, POWSTANIEC Z ŁACHWY

JAN WÓJCIK – BARD POLESIA



MOJA OJCZYZNA

Czy jest mi wolno – kto mi to przyzna
po życiu w świecie, nie w kraju
wymawiać słowa «Moja ojczyzna»,
jak w Polsce je wymawiają?

Ktoś mi poradził ją samą spytać,
ona najlepiej odpowie.
Lecz ona tam jest – Rzeczpospolita,
Gdzie leżą moi ojcowie.

I nagle z wiatrem, najcichszym tchnieniem
spłynęły mi dziwne słowa:
– Szukaj mnie bliżej. Ja mam schronienie
tam, gdzie w ukryciu mnie chowasz.

I usłyszałem jak moje serce
odpowiedź mi podpowiada:
– Jam twa ojczyzną. Nie bądź w rozterce.
Byłam i będę nią nadal.

Jan Wójcik

SPIS TREŚCI









'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
e-mail: klub_polski@wp.pl

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt wspierany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za granicą 2021

Projekt «Polska Platforma Medialna Wschód» realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja

Foto na okładce
Eugeniusz Lickiewicz

Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia
www.echapolesia.pl
www.polesie.org

Publikacje w numerze 1 «Ech Polesia» wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

MATKA BOŻA OPIEKUNKA LASÓW W PRUŻANIE

22 maja b.r. nuncjusz Apostolski na Białorusi abp Ante Jozić odwiedził katolicką parafię Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny w Prużanie, gdzie podczas Mszy Św. dokonał poświęcenia obrazu Matki Boskiej Opiekunki lasów.

Autorem i wykonawcą tego unikatowego obrazu jest zasłużony działacz kultury na Białorusi Mikołaj Kużmicz, który m.in. jest znany z tego, że wykonał współczesną replikę cennej relikwii – utraconego podczas II WŚ Krzyża Eufrozyny Połockiej.

Z tej okazji też do Prużan dostarczono jeszcze jedno dzieło mistrza, – poświęcony nieco wcześniej przez biskupa Olega Butkiewicza obraz św. Barbary.

Praca nad obrazem Matki Bożej Opiekunki lasów, który został wykonany wg starożytnych technik w stylu bizantyjskim, trwała siedem miesięcy. Podczas wykonania obrazu użyto m.in. złoto, srebro i szlachetne kamienie. Nazwa obrazu podpisana niebieskimi literami w j. łacińskim: «Mater Dei Silvarum Patrona». Obraz przedstawia figurę Matki Bożej na tle lasów oraz kościoła i Pałacyka Szwykowskich w Prużanie.

Mszę Św. w kościele pw.W.N.M.P. w Prużanie celebrował nuncjusz Apostolski, arcybiskup Ante Jozić. Prużańska parafia dla przedstawiciela Papieża Franciszka stała się też pierwszą, gdzie on poza Mińskiem odprawił Mszę Św. Podczas homilii arcybiskup Ante Jozić zaznaczył: «Dzisiaj zbiera nas wszystkich Matka Boska, przedstawiona jako Opiekunka lasów. Przed obrazem, który niebawem zostanie poświęcony, wznieśmy



gorące modlitwy za nasze rodziny, za nasze społeczeństwo, za tych kto cierpi, kto szuka sprawiedliwości, pocieszenia, pomocy i błogosławienia. ...Modle się do Pana Boga, by ta ziemia stała się miejscem spotkania i modlitwy pod obroną naszej Najświętszej Matki, Opiekunki lasów». Na zakończenie Mszy Św. nuncjusz Apostolski skierował słowa wdzięczności i podziękowania do autora obrazu oraz jego ofiarodawcy, który m.in. pochodzi też z tych stron, którzy «dali nam możliwość dzisiaj spotkać się nie tylko razem, ale uszanować naszą Matkę i Opiekunkę lasów właśnie tutaj, na Polesiu, w tym kraju leśnym, który często nazywa wielu «płucami Europy».

Po uroczystościach w Prużanie arcybiskup Ante Jozić prywatnie odwiedził Żyrowice, gdzie modlił się przed cudownym obrazem Matki Bożej Żyrowickiej.

RED.



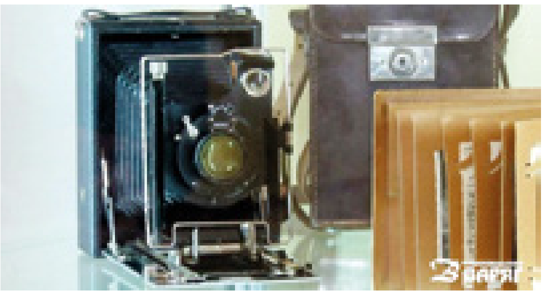




WYSTAWA FOTOGRAFII MIKOŁAJA STASIUKA "PIŃSK I OKOLICE"

W Muzeum Białoruskiego Polesia na początku maja 2021 r była prezentowana wystawa «Pińsk i okolice». Na wystawie były przdstawione fotografie Mikołaja Stasiuka, nieznanego dotąd pińskiego fotografa dwudziestolecia międzywojennego. Po pierwszej wojnie światowej Mikołaj był uczniem pińskiego państwowego gimnazjum humanistycznego. Zatem odbywał służbę wojskową w korpusie łączności. Z 1926 roku do 1939 pracował jako motorniczy w zakładach Pińskiej Flotylli Rzecznej.Miejskie i wiejskie ż ycie tamtych lat odzwierciedlał w swoich fotografiach . Posiadał niemiecki aparat fotograficzny, który także jest prezentowany na wystawie.





Organizator i wystawy i właściciel kolekcji fotografii Mikołaja Stasiuka piński krajoznawca i historyk Aleksander Noworaj opowiada,że Mikołaj Stasiuk nie był profesjonalnym fotografem, był zwykłym miłośnikiem i pasjonatem fotografii. Fotografując swoich znajomych i przyjaciół nie przypuszczał,że utrwala historię : atmosferę, artefakty, sam duch swoich czasów, że to co robi, może mieć jakiś większy sens. Wystawa stała się możliwa dzięki temu,ze syn Mikołaja Stasiuka Jarosław znalazł w domu ojczystym kolekcję czasopism, pocztówek oraz klisze fotograficznych. Tę kolekcję pan Jarosław przekazał Aleksandrowi Noworajowi, który i zorganizował tę unikatową wystawę przy wsparciu Muzeum Białoruskiego Polesia. Dzięki pomocy pińskich fotografów Stepana Gorenca oraz Olega Bieńko stare negatywy, wykonane jeszcze na kliszach fotograficznych, udało się wywołać 90 fotografii, które i były prezentowane dla mieszkańców Pińska i okolic w Muzeum Białoruskiego Polesia. Praca nad przygotowaniem wystawy trwała prawie rok. Na fotografiach – Pińsk i okolice, malownicze pejzaże i portrety mieszkańców. Wielu budynków, prezentowanych na fotografiach, już się nie zachowało, tym większa jest wartość prac przedwojennego pińskiego fotografa. Widzimy tam też dawnych mieszkańców Pińska i okolic podczas pracy i wypoczynku, w dni powszednie i dni świąteczne, widzimy jak uprawiali sporty, jak odpoczywały nad rzeką. Ekspozycja fotografii Mikołaja Stasiuka wprowadza wiidzów w atmosferę Pińska z przed prawie 100 lat. W następnych numerach «Ech Polesia» Redakcja zaprezetuje Drogim Czytelnikom unikatowe fotografie Mikołaja Srasiuka

RED.

IZABELLA Z RODU RADZIWIŁŁÓW



NOWE ODKRYCIE W BRZESKIM ARCHIWUM



Podczas pracy w archiwum, zawdzięczając podpowiedzi kolegi Jefima Basina , udało się odnaleźć fotografię księżnej Izabelli Radziwiłł (30.08.1888-21.02.1968). W 1930 roku, mieszkając w majątku Mańkowicze nieopodal Dawidgródka w powiecie stolińskim ona złożyła podanie do Starostwa Stolińskiego z prośbą o przedłużenie terminu ważności swojego paszportu, mając zamiar podróży do szeregu krajów Europy Zachodniej. Do podania była załączona jej fotografia.

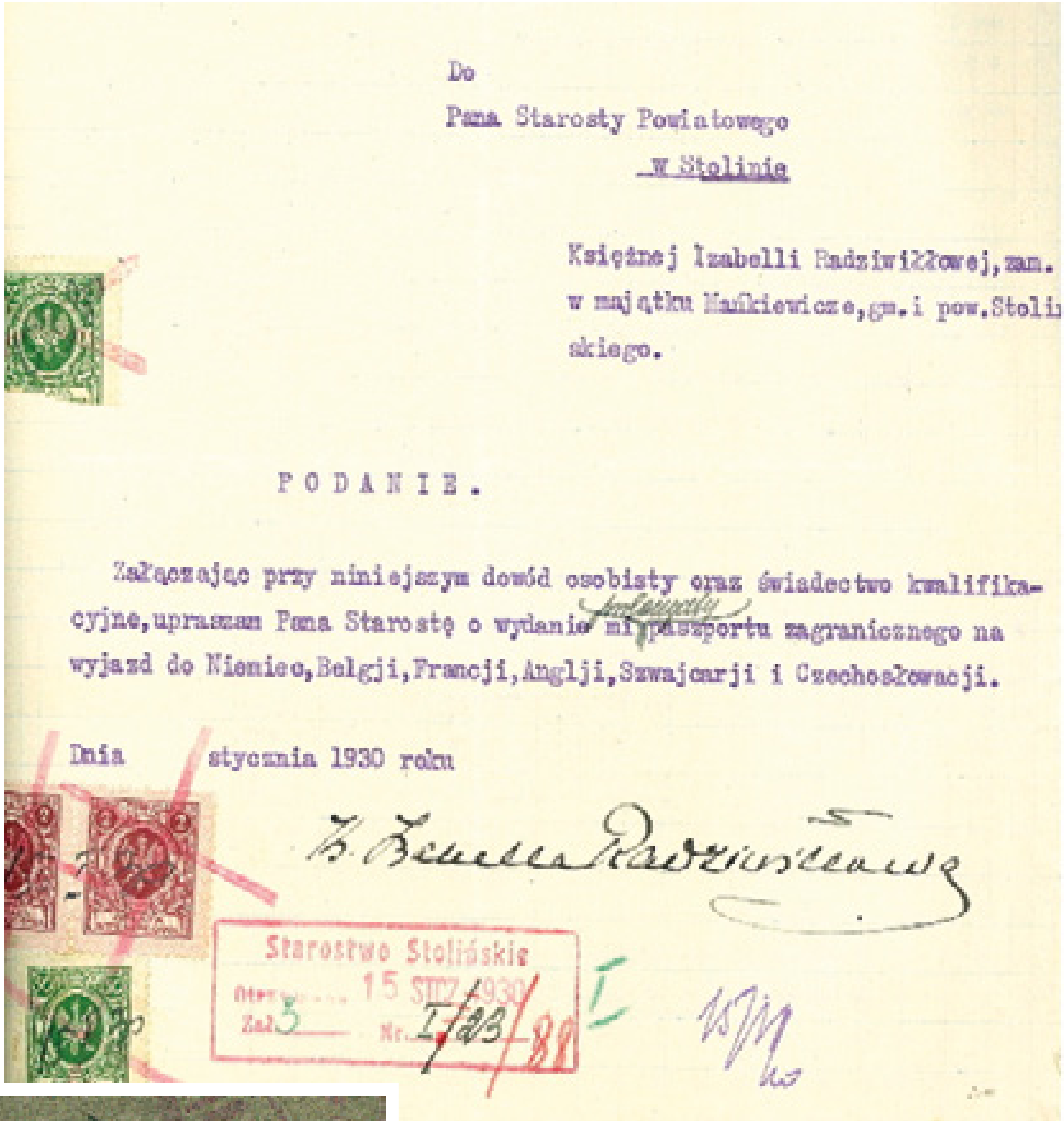
Próbując odnaleźć w Internecie dodatkową informację o Izabeli Radziwiłł, udało mi się odnaleźć zaledwie jeden jej wizerunek – portret graficzny w stylu salonowym. Tym bardziej cenną jest odnaleziona w archiwum fotografia, gdyż spodziewam się – zainteresuje nie tylko historyków i miłośników historii, lecz także potomków słynnego rodu Radziwiłłow.

Krótko przypomnę, że Izabella Radziwiłł była córką Dominika Marii Ignacego ks.Radziwiłła (1852-1938) i Dolores Marii de Agramonte (1854-1920). W 1910 roku ona wyszła za mąż za Karola Mikołaja Radziwiłła (1886-1968), arystokratę polskiego, ostatniego (13-go) ordynata dawidgródskiego (1920-1939).

Właśnie o mężu Izabelli – Karolu Mikołaju Radziwiłłu warto opowiedzieć czytelnikom nieco więcej. Z tej okazji skorzystam z fragmentu wywiadu autora strony «Prawda historyczna» Igora Melnikowa z jednym z potomków Radziwiłłów, Mateuszem Radziwiłłem («Białoruś – to kraj dla mnie bardzo bliski»):

– «W cieniu Nieświeskich i Ołykskich ordynatów zupełnie niesłusznie jakoś «zapomniano» o dawidgródeckim ordynacie Karolu Mikołaju Radziwiłłu, a przecież to też bardzo ciekawa i ważna dla Białorusi osoba. Co o nim wiadomo?

To była taka, jak by tu trafniej określić, «sarmacka» osobowość. W czymś przypominał swoich przodków – księciów Rybeńko i Panie Kochanku. Taki, jak u nas mówią, «szeroka dusza». Lubił polować, urządzać przyjęcia i bale. Był właścicielem ogromnych terenów ziemi ornej i lasów, organizował wzorową gospodarkę łowiecką. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim Karol Mikołaj służył w carskim wojsku rosyjskim. Po rewolucji październikowej 1917 »»»



Do

Pana Starosty Powiatowego

w Stolinie

Księżnej Izabelli Radziwiłłowej, zam. w majątku Mańkiewicze, gm. i pow. Stolińskiego.

PODANIE.

Załączając przy niniejszym dowód osobisty oraz świadectwo kwalifikacyjne, upraszam Pana Starostę o wydanie mi paszportu zagranicznego na wyjazd do Niemiec, Belgji, Francji, Anglji, Szwajcarji i Czechosłowacji.

Dnia stycznia 1930 roku

Starostwo Stolińskie
15 STY 1930



»»» roku był adiutantem dowódcy I Korpusu Polskiego generała Józefa Dowbór-Muśnickiego. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

Centrum dawidgródeckiej ordynacji było w Mańkowiczach. Tamtejszy pałac był zbudowany na polecenie Marii de Castellane i bardzo przypominał słynny zamek nieświeski. Wśród przyjaciół Karola Radziwiłła warto wymienić brytyjskiego generała barona Adriana Cartona de Wiarta, który był swoistym «radarem» brytyjskiego wywiadu na polsko-rosyjskim pograniczu.

We wrześniu 1939 roku Karol Radziwiłł zaciągnął się do Wojska Polskiego i odbywał służbę w wydziale ochrony sztabu



Generalnego w Brześciu. Później walczył w Grupie Operacyjnej «Polesie» do października 1939 roku. Do słowa, razem z nim był na froncie także mój dziadek Konstanty. Radziwiłłowie brali udział w bitwie pod Kockiem, gdzie też trafili do niewoli niemieckiej.

Będąc w kolumnie jeńców, Karol Mikołaj oznajmił niemieckiemu oficerowi, że jest krewnym Gogencollernów i zażądał, by jemu udostępniono samochód razem z kuzynem Konstantym. Zaskoczone Niemcy wykonali to polecenie, i dalej książęta jechali niemieckim autem sztabowym.

Później Radziwiłłom udało się uciec z niewoli niemieckiej. Karol Radziwiłł służył w Wojsku Polskim we Francji i Anglii, a po II WŚ w 1947 roku emigrował do RPA, gdzie kupił farmę w okolicach Johannesburga i uprawiał rolnictwo. Moja żona, jeszcze jako mała dziewczynka, prawie całe wakacje spędzała na tej farmie.

W 1967 roku rodzina byłego dawidgródeckiego ordynata powróciła do Polski ludowej, a po roku książę zmarł…»

NIKOŁAJ ALEKSANDROW
TŁUM. EUGENIUSZ LICKIEWICZ







Duża rodzina razem

ALBUM HRABIEGO KOSSAKOWSKIEGO

Istnieje wyrażenie — « dotknąć historii Poszukując odpowiedzi na pytania, co i kto znajduje się na starych zdjęciach, które przypadkiem odnalazłem wśród zbiorów Brzeskiego Obwodowego Muzeum Krajoznawczego, nie tylko zostałem wchłonięty poprzez wir wydarzeń przeszłości i faktów życia słynnych osób, lecz także dosłownie fizycznie odczułem związek czasów.

Jeśli jednocześnie wziąć do rąk zdjęcie zrobione przy pomocy nowoczesnego aparatu cyfrowego albo telefonu komórkowego i starą czarno-białą odbitkę z albumu rodzinnego, to można zauważyć interesującą właściwość — mimo doskonałej jakości technicznej — fotografii cyfrowej często czegoś brakuje. Moim zdaniem, brakuje żywej energetyki, części duszy fotografa, która zawsze jest odczuwalna na zdjęciach odbitych nie przez samą maszynę, a przez człowieka według technologii «klasycznej».

Wśród zbiorów Brzeskiego Obwodowego Muzeum Krajoznawczego przechowuje się kilka niewielkich oryginalnych albumów autorskich, które, jak mi się wydaje, bez przesady należy zaliczyć do prawdziwych unikatów.

Do muzeum te albumy zostały przekazane jako mienie skonfiskowane według decyzji sądu w 1984 roku razem z trzema księgami cerkiewnymi, wydanymi na przełomie XIX-XX stuleci. W odpowiedniej dokumentacji 38 fotografii formatu 13x18 cm z profesjo

nalnym opracowaniem włożone do tekturowych paszportów z tłoczeniami i zszyte



Pałac

w albumy figurują jako, Album rodzinny fotografii nieznanego zamku...».

Autorem wszystkich zdjęć z albumów, bez wątpienia wkładającym duszę w swoją pasję jest hrabia Stanisław Kazimierz Kossakowski (1837-1905). Właśnie jego imię zostało wymienione na okładce jednego z albumów jako posiadacza wyróżnienia w postaci medalu srebrnego I Warszawskiej Wystawy Fotograficznej w 1901 roku. Znalezienie i fascynujące badanie życiorysu tego człowieka – przedstawiciela starego, bogatego i wpływowego rodu arystokratycznego – nie sprawiło dużo trudności, pomógł «Polski Słownik Biograficzny» (T. XIV, ss. 287-288).

Bogaci rodzice naszego bohatera należeli do najwyższych sfer arystokracji swych czasów. Ojciec Stanisław Szczęsny Kossakowski (1795-1872) senator, radca tajny, wybitny rosyjski działacz państwowy, dyplomata, literat i kolekcjoner w roku 1829 pobrał się z Aleksandrą Ławal. Aleksandra Kossakowska (1811-86) była córką hrabiego Iwana Ławala, gofmajstra i radcy »»»





Orda Wojtkuszki



stanu. Jej matka, A. Ławal (z d. Kozicka), była gospodynią jednego z najbogatszych i najokazalszych domów w Petersburgu. W jej salonie spotykały się literackie i muzyczne znakomitości ówczesnych czasów.

Rodzona siostra Aleksandry Kossakowskiej – Katarzyna – była niezwykłą kobietą, której życie i los stały się legendą i wątkiem dla wielu utworów literackich. W roku 1827 ona podążyła do Syberii i Zabajkala w ślad za swoim skazanym na wieczną katorgę mężem – księciem Siergiejem Pietrewiczem Trubieckim wybranym przez dekabrystów na dyktatora powstania, ale nie przybyłego do placu Senackiego Petersburga w dzień jego rozpoczęcia – 14 grudnia 1825 r.

Niewątpliwie Kossakowscy, nie mówiąc już o Ławlach, nieraz spotykali się z Aleksandrem Puszkinem. Isnieją jasne dowody i przede wszystkim świadectwa samego poety. 8 kwietnia 1834 roku Puszkin zanotował w swoim dzienniku kilka zdań na temat ostatniego rautu u księcia W. Odojewskiego i wspomniał tu także rodziny Ławali i Kossakowskich.2 W tym dniu, 8 kwietnia, Puszkin przybył z wizytą do cesarzowej. Wśród przedstawiających się, jak to widać z dokumentów oficjalnych, był też hrabia S. Kossakowski. Jednakże, na ile można wnioskować z posiadanych informacji historycznych, osobiste kontakty Puszkina



Dziewczynka z obrazem w tle



Przy kominku

/ małżeństwem Kossakowskich nigdy nie były bliskie, ale zawsze pozostawały powściągliwe a nawet zimne.

W 1858 roku po protekcji ojca Stanisław Kazimierz Kossakowski został przyjęty urzędnikiem do Heroldii Królewstwa Polskiego w Warszawie. Niewątpliwie, że nie tylko status społeczny jego ojca, ale i osobiste cechy pozwoliły mu szybko awansować: w latach 1865-67 jest on wice-referendariuszem Królestwa Polskiego, szambelanem, a w latach 1876-85 1 honorowym sędzią pokojowym powiatu wilkomierskiego.

Najważniejszym dorobkiem hrabiego Stanisława Kazimierza Kossakowskiego są zarysy historii szlacheckich rodów Wielkiego Księstwa Litewskiego i Polski (m.in, Kossakowskich, Chodkiewiczów, Giedrojciów, Czetwertyńskich), które zostały zebrane w «Historyczno-genealogicznych monografiach». W swej pracy »»»



Sala muzealna



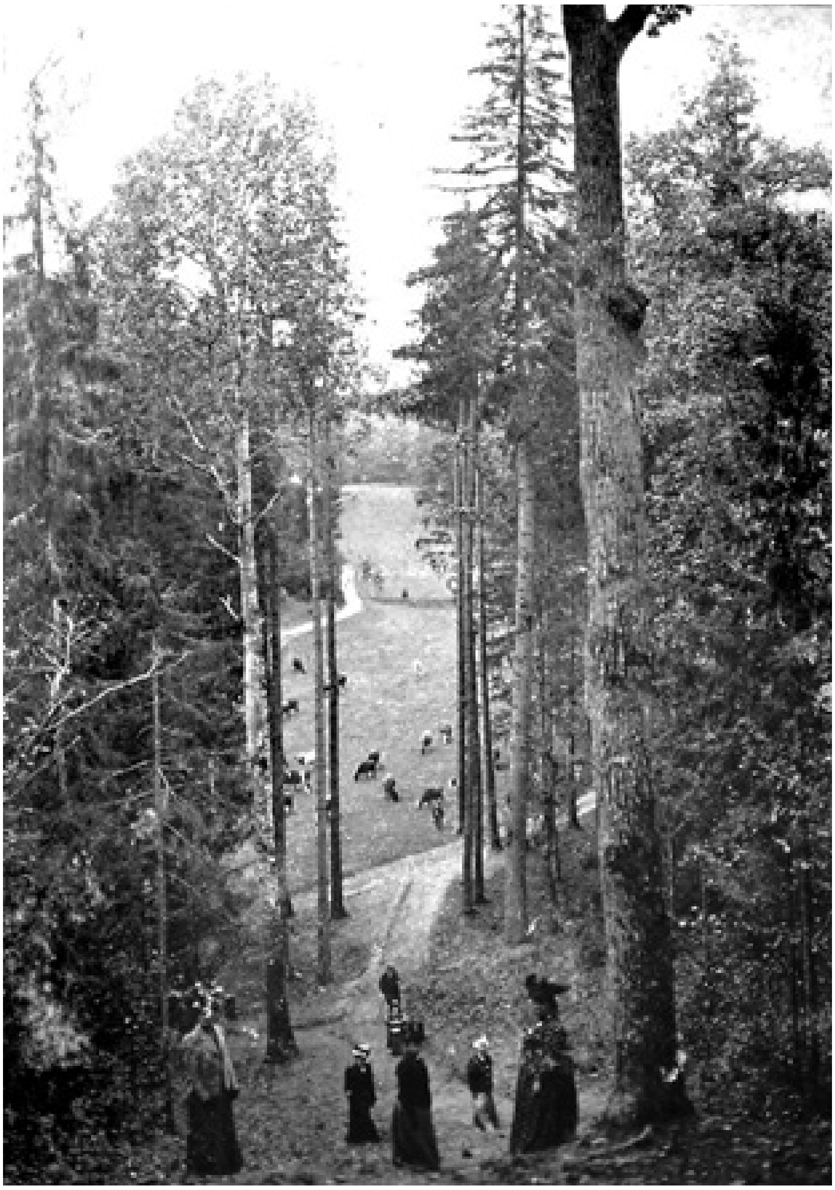
W parku



Sala muzealna



Klomb



Spacer w lesie



Brzostowica duża. Kościół.

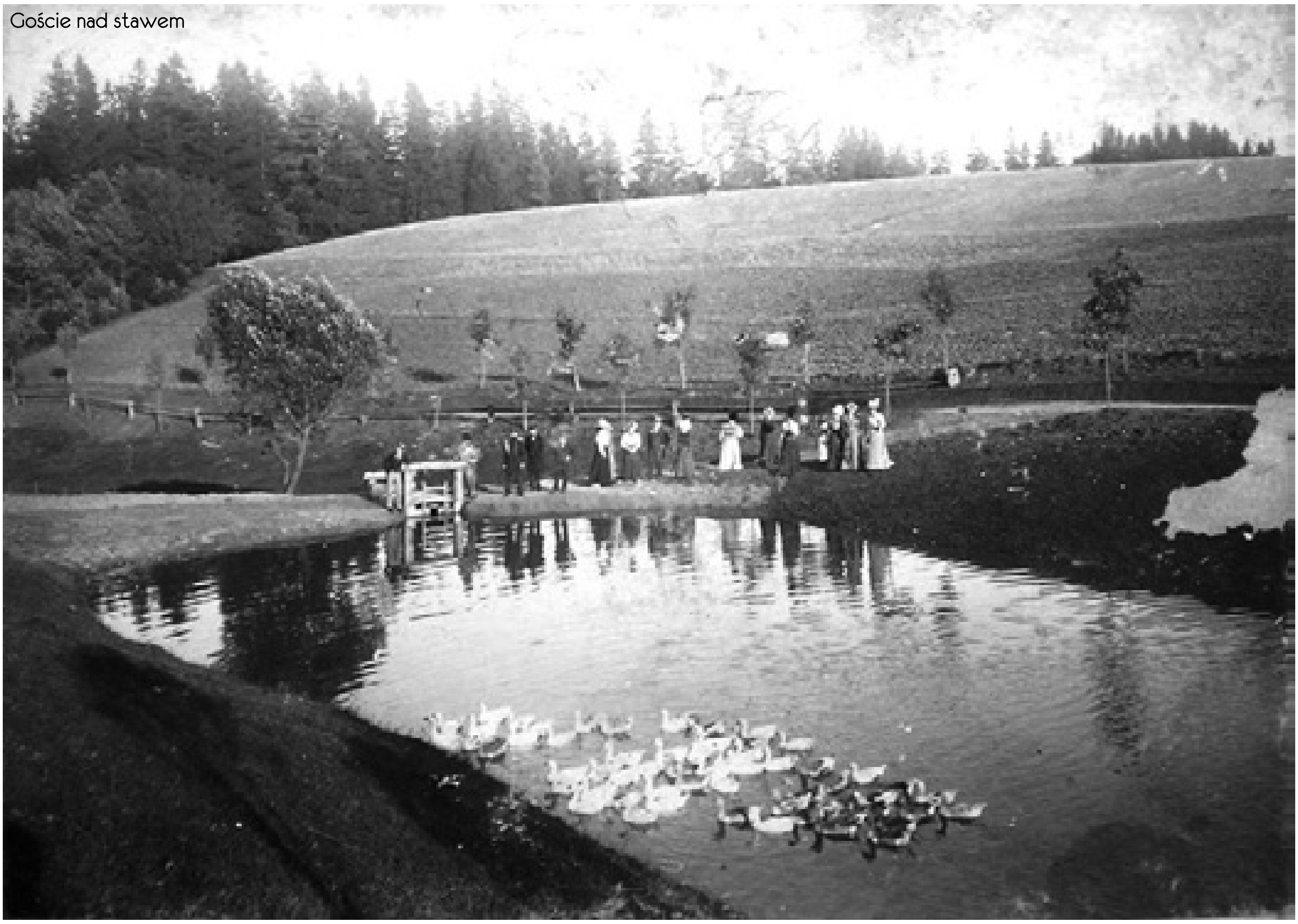
»»» naukowej jako jeden z pierwszych badaczy wykorzystywał wcześniej nieznane dokumenty Głównego Archiwum Dawnych Akt w Warszawie, a także z licznych prywatnych archiwów rodzinnych szlachty Litwy, Białorusi i Ukrainy. Dużą ilość unikalnych materiałów archiwalnych o szlachcie Rzeczypospolitej przekazał T. Żychlińskiemu dla jego wielotomowego dzieła «Złota księga szlachty polskiej» i A. Bonieckiemu dla «Herbarza Polski».

Jednak, znany przede wszystkim ze swoich prac w dziedzinie heraldyki, hrabia S. K. Kossakowski pozostał w historii także jako jeden z pionerów fotografii amatorskiej. Dzięki zdjęciom, które się zachowały, możemy cofnąć się ponad sto lat w historii i zobaczyć oczami autora wspaniałą architekturę i wnętrza, twarze bliskich mu ówczesnych ludzi.

Na wszystkich zdjęciach w albumach z Brzeskiego Muzeum w rogu tekturowej ramki-paszportu znajduje się napis «Wojtkuszki», który, prawdopodobnie, wskazuje na miejsce laboratorium fotograficznego Kossakowskiego.

W rodowym majątku ziemskim Wojtkuszki rozmieszczonym w byłej guberni kowieńskiej (następnie województwo wileńskie), w malowniczym miejscu niedaleko od znanego z 1238 roku miastem Ukmerge (do r. 1917 – Wilkontierz), przyszły fotograf przy. szedł na świat 3 VH 1837 roku i w tym samym miejscu opuścił świat 4 XI 1905 roku, został pochowany w rodzinnym grobowcu. Dzisiaj wspaniały kompleks parkowo-pałacowy można podziwiać jedynie na lito grafiach Napoleona Ordy i ocalałych zdjęciach Stanisława Kazimierza Kossakowskiego.

Majątek Wojtkuszki był własnością Kossakowskich w latach 1764-1940. W drugiej połowie XVIII wieku wybudowali tutaj swoją siedzibę, która stała się od połowy XIX stulecia ich głównym gniazdem rodowym. Luksusowe wnętrza pałacu, ogromna biblioteka, zbiory obrazów i antykwariatu z dużą ilością rzeczy unikalnych – wszystko to całkowicie albo częściowo zostało zrabowane i zginęło na skutek dwóch rujnujących wojen XX stulecia. W 1939 r. siedziba była miejscem internowania polskich żołnierzy, a w latach okupacji »»»


Goście nad stawem





Troje w bryczce



Młyn wodny



Zabawa w koni

»»» faszystowskiej — żydowskim getto. W ostatnie wojenne lata została praktycznie doszczętnie zburzona, a ocalałe budynki i ruiny następnie zostały całkiem rozebrane.

Kossakowscy posiadali nie tylko Wojtkuszki, ale i inne majątki: Wielką Brzostowicę w obecnym obwodzie grodzieńskim, Lachowicze i inne. Niestety, żadna z tych siedzib do dzisiaj nie zachowała się. Jednakże, dzięki dość kosztownej w ówczesnych czasach pasji hrabiego S. K. Kossakowskiego możemy sobie wyobrazić ich przeszłą wspaniałość.

Szereg fotografii z wizerunkiem pałacu w Wielkiej Brzostowicy też znalazł się w zbadanych przeze mnie albumach. Interesujące, że jedno z tych zdjęć następnie (podczas pierwszej wojny światowej) powielili Niemcy i wykorzystywali jako pocztówkę, oczywiście bez wskazania autorstwa. Egzemplarze tej pocztówki można do dzisiaj bez szczególnych problemów znaleźć w zbiorach kolekcjonerów.

Dokonałem dla siebie drugiego interesującego odkrycia, które może jest dawno znane specjalistom, ale dla mnie stało się oczywiste dopiero teraz. Badając historię wsi Wołczyn i okolic w rejonie kamienieckim, a mianowicie historię chutoru Gremiacze, długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego ostatni właściciel wspaniałego pałacu w Gremiaczach, książę Józef Edward Puzyna, sprzedawszy swoje ziemie osadnikom w 1933 roku, przekazawszy pałac pod budynek szkoły, przeniósł się właśnie do Wielkiej Brzostowicy. Najprawdopodobniej książę Puzyna, historyk, pisarz i poeta, będąc w owym czasie przykuty do inwalidzkiego wózku przeniósł się do Wielkiej Brzostowicy z następujący eh względów: żoną właściciela tej posiadłości była jego córka – księżna Maria Józefina, a sani majątek, jak również Wojtkuszki i Lachów icze, oddziedziczył Stanisław Kossakowski (1901-1961) – wnuk «naszego» hrabiego – fotografa.

Na tym niezwykła parada» znakomitych nazwisk, przedstawiciele których byli »»»



Aleja w parku

»»» ciasno spokrewnieni między sobą, nie skończyła się, Z programu telewizyjnego przygotowanego przez Brzeskie studio jeszcze w 2002 roku całkiem przypadkowo dowiedziałem się, że do 1940 roku w Wielkiej Brzostowicy mieszkała jedna z Kossakowskich — Ludwika — wraz ze swoim mężem – Jerzym Ursynem Niemcewiczem – potomkiem w szóstym kolanie słynnego Juliana Ursyna Niemcewicza.

Takie niespodzianki, imiona i wydarzenia otwarły się przede mną podczas zaspokojenia, wydawałoby się, zwykłej ciekawości związanej z identyfikacją przedstawionych na zdjęciach miejsc i ludzi.

Na zakończenie pozwolę sobie dokonać jeszcze jednego przypuszczenia: możliwe, że gdzieś w rodzinnych albumach albo archiwach zachowały się i czekają na swój czas fotografie (lub negatywy) jeszcze jednego majątku Kossakowskich – pałacu w Lachowiczach. O wyglądzie zewnętrznym tego majątku, zburzonegopodczas pierwszej wojny światowej, można wnioskować tylko na podstawie jedynego rysunku wykonanego przed rokiem 1914. Nie wyobrażam sobie, żeby zafascynowany sztuką fotografii hrabia S. K. Kossakowski nie zrobił żadnego zdjęcia tego, niech nie najbardziej umiłowanego, ale jednego ze swoich majątków, więc zdjęcia te gdzieś mogły się zachować i czekają obecnie na odkrycie. Jeśli jest tak w rzeczywistości, to wcześniej albo później my je zobaczymy!

SIERGIEJ BASÓW,
BRZEŚĆ
BASOV8@MAIL.RU

Zapomniane imiona

HRABIA MARIAN HUTTEN-CZAPSKI –

PISARZ, POWSTANIEC, NAUKOWIEC, PRZYRODNIK, PATRIOTA.

Tyle wybitnych imion jest związanych z ziemią łuniniecką: Druccy – Lubeccy, Niemirowicze, Radziwiłłowie, Wittgensteinowie. A poza tym...

Jak podaje Wikipedia i Polski Słownik Biograficzny, Kraków, tom IV, 1935), hrabia Marian Hutten Czapski pochodził z bardzo znanego magnackiego rodu Czapskich, herbu «Leliwa».

Urodził się 30 marca 1816 roku w Łachwie na łuninieccczyźnie w rodzinie hrabiego Stanisława Czapskiego i Zofii z rodu Obuchowiczów – córki mińskiego kasztelana.

Ojciec Mariana – Stanisław Czapski był synem wojewody z Chełmna Franciszka i Weroniki Joanny Radziwiłł – siostry sławnego Nieświeżskiego ordynata księcia Karola Stanisława Radziwiłła «Panie Kochanku». Ojciec Mariana był pułkownikiem armii Księstwa Warszawskiego, uczestnikiem wojen napoleońskich po stronie Francji, kawalerem Orderu Virtuti Militari i Orderu Legii Honorowej. Dominik Radziwiłł, inny bratanek «Panie Kochanku» i adiutant Napoleona, przekazał swojemu kuzynowi w spadku po matce – ojcu Mariana Czapskiego, gminę Łachwę, miejscowość Kiejdany i inne ziemie dawnego Księstwa Litewskiego i Wołynia.

Gmina Łachwa w tym czasie zajmowała większość terytorium obecnego obwodu łuninieckiego, obejmowała nawet Czuczewicze i Deniskowicze. W Łachwie Stanisław i Zofia Czapscy urodzili najstarszego z trzech synów – Mariana.

Pierwsze nauki młody człowiek pobierał w prywatnej szkole z internatem Plansonow w Wilnie. W 1828 r. wraz z braćmi zapisał się do szkoły ojców Pijarów na Żoliborzu (obecnie dzielnica Warszawy). Następnie ukończył szkołę średnią w Berlinie. Z woli ojca kontynuował studia na Uniwersytecie w Charkowie, gdzie otrzymał tytuł magistra prawa.

Jednak Marian Czapski czuł w sobie powołanie przyrodnika, a nie prawnika. Od najmłodszych lat interesował się historią jeździectwa i hodowlą koni, pszczół, zagadnieniami dotyczącymi architektury »»»



»»» parkowej. Podczas swoich podróży po Europie Czapski studiował sztukę planowania i sadzenia angielskich ogrodów, aby wykorzystać tę wiedzę w swojej ojczyźnie.

W 1844 r. hrabia ożenił się z Justyną Rostworowską herbu Nałęcz, z którą miał sześcioro dzieci.

Po śmierci ojca Marian powrócił w rodzinne strony, osiadł w Kiejdanach, odbudował majątek należący w XVII wieku do hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego Janusza Radziwiłła, znanego z powieści Henryka Sienkiewicza «Potop». W Kiejdanach nowy gospodarz zbudował pałac (patrz rycina N. Ordy), a w 1845 r. założył piękny park, który do dziś jest perłą litewskich Kiejdan. Sam Marian Czapski pomieszkiwał zarówno w Kiejdanach, jak i w odziedziczonym po matce Miropolu.

W 1846 r. hrabia Czapski został wybrany marszałkiem szlachty w powiecie kowieńskim, a w 1852 r. – marszałkiem szlachty guberni kowieńskiej. Pełniąc to stanowisko zdobył zasługi w wyzwalaniu chłopów.

W Poznaniu, w pobliżu którego mieszkała jedna z córek Mariana Zofia, w 1863 r. w wydawnictwie «Gazety Rolniczej» M. Czapski wydał pod nazwiskiem swojego pszczelarza Józefa Znamirowskiego dwutomowy podręcznik «Pszczolarz polski czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych wyłożony przystępnie dla pojęcia braci z ludu».

Marian Czapski w swoich dziełach zawsze podkreślał, że jest Polakiem i zagorzałym patriotą bezpowrotnie odeszłej w przeszłość Rzeczpospolitej. On, podobnie jak jego młodszy brat Edward (pochowany w Swojatyczach, skąd pochodził mój nauczyciel i wielki lekarz S.S. Turkowski), brał czynny udział w Powstaniu Styczniowym.. Pomagał powstańcom finansowo, za co w 1864 roku został zesłany na Syberię, a jego majątek w Kiejdanach, jak i sąsiednie Rosienie, które należało do jego brata Edwarda, zostały skonfiskowane przez rząd. Łachwa w tym czasie należała już do książąt Wittgensteinów ...

Marian spędził trzy lata na wygnaniu w Tomsku, po czym został ułaskawiony. W 1867 roku Czapski osiadł w Dorpacie (Tartu) i wygłaszał odczyty o pszczelarstwie. Niektóre z nich zostały przetłumaczone na język łotewski.

Od 1871 r. hrabia Marian Czapski przeniósł się do zajętej przez Niemców po podziale Rzeczypospolitej Wielkopolski, do Więckowic, do swojego zięcia Stanisława Brezy i córki Zofii. Tutaj założył ogród angielski i zakończył rękopis 3 tomów «Powszechnej historii konia» z załączonym atlasem. Hrabia zdążył potrzymać w rękach nowo wydane tomy książki, którą uważał za swoje główne dzieło. Jest to podręcznik hipologii, wydany w Poznaniu w 1874 r. (Atlas – po śmierci autora w 1876 r.), do dziś jest najpoważniejszym podstawowym podręcznikiem z zakresu hodowli koni.

Jak pisze Swietłana Iszczenko: «... losy i twórczość utalentowanych ludzi należą do każdego, kto potrafi się w nie zagłębić, poznać i docenić, zachwycić i być przepojonym wdzięcznością – niezależnie od narodowości, granic i epok .. «.

Godna droga życiowa Mariana Czapskiego zakończyła się 10 czerwca 1875 roku w Więckowicach. Został pochowany na najbliższym cmentarzu w Nieruszewie.

W 12 numerze magazynu «Niemen» z roku 2017 opublikowane zostały rozdziały z książki naszego sławnego rodaka, przetłumaczone z języka polskiego przez znaną historyk, kulturologa i etnografa Swietłanę Iszczenko. Z przyjemnością prezentuję Czytelnikowi fragmenty przedmowy do tego tłumaczenia.

Swietłana Iszczenko.

KSIĄŻKA – EPOS, KSIĄŻKA – LEGENDA

Już wiele lat temu zainteresowałam się historią hodowli koni w Rzeczypospolitej i odkryłam, że prac białoruskich badaczy w tej dziedzinie praktycznie nie ma. A pojedyncze publikacje polskich autorów, które udało się odnaleźć, oparte były na cytatach z Czapskiego. Zaintrygowana tym nazwiskiem udałam się do Białoruskiej Biblioteki Narodowej. W katalogu literatury zagranicznej znalazłam

wspaniały pomnik literacki w języku polskim: «Historia powszechna konia» Mariana Czapskiego, 1 i 2 tom, wydane w Poznaniu w 1874 r. przez wydawnictwo Jana Konstantego Żupańskiego.

Pierwszy tom dotyczy koni z epoki prymitywnej, starożytności i wczesnego średniowiecza. Autor rozpatruje rozwój hodowli koni w Europie, na wschodzie, w Azji.

Tom drugi – oto, czego szukasz! – prawie w całości poświęcony jest historii hodowli koni w Rzeczypospolitej Polskiej. Co więcej, wszystkie jej aspekty są tak szczegółowo opisane, że prawdopodobnie współcześni hipolodzy niewiele mogą dodać. Koń w legendach i zwyczajach ludowych, na wojnie i polowaniach, na turniejach rycerskich i uroczystych ceremoniach; handel końmi, testowanie zalet konia bojowego; dwory i stajnie; niektóre zagadnienia na temat higieny i weterynarii; ochrona praw właścicieli koni i koniokradztwo ... To nie jest cała lista rozdziałów z 2 tomu liczącego ponad 500 stron! Prawdziwa skarbnica wiedzy dla jeźdźców, którzy interesują się rodzimą historią i historyków, którym konie nie są obojętne ...

Istnieje również trzeci tom «Historii powszechnej konia», który opowiada o historycznych i hippicznych wydarzeniach w Europie w XVIII i XIX wieku, a także o koniach Imperium Rosyjskiego.

Już po śmierci autora w 1876 r. to samo wydawnictwo wypuściło Atlas rycin do wszystkich trzech tomów, wykonanych przez Mariana Jaroczyńskiego ...

M. Czapski napisał (swoją książkę – SJ.) w swobodnej, eseistycznej konwencji, często dając się ponieść pasji i odbiegając od ściśle końskiej tematyki. Jego praca zawiera ciekawe szczegóły dotyczące zwyczajów i tradycji różnych narodów i społeczności, wychowania dzieci, prowadzenia gospodarstwa domowego, handlu, sztuki wojennej itp. Autor przeanalizował wiele źródeł – kronik, wspomnień, dokumentów, dzieł literackich, jednak nie odwoływał się do konkretnych pozycji. ... Czasami popierał swoje wywody cytatem z pamięci, czasami ograniczał się tylko do wymienienia postaci i wydarzeń, opierając się



na kontekście kulturowym, który był zrozumiały dla wszystkich wykształconych ludzi z jego kręgu. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o dzisiejszych czytelnikach. W ogólnym zarysie zdajemy sobie sprawę z intryg panujących we Francji epoki Ludwika XIII i podboju Dzikiego Zachodu, bo są to, jak to teraz modnie się mówi, znane marki historyczne, ale nie mamy pojęcia o tym, co działo się w znacznie bliższym nam geograficznie i kulturowo regionie słowiańskim. Tymczasem w Polsce, Czechach, na Słowenii, w Chorwacji, Serbii toczyły się nie mniej widowiskowe dramaty, a na scenie pojawiały się nie mniej barwne postacie. W książce Czapskiego widoczne jest bogate «drugie dno», zrozumienie którego wymaga komentarzy.

Cały zbiór autora znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Zeskanowane wszystkie trzy tomy oraz atlas są publicznie dostępne w bibliotece cyfrowej Polona.pl. Ilustracje do danej publikacji zostały zapożyczone z tego właśnie źródła.

«Historia powszechna konia» nadal jest całkowicie nieznana białoruskim i prawie – polskim czytelnikom. Pora naprawić tę wstydliwą okoliczność, bo jej autorem jest nasz rodak, z którego powinniśmy być dumni!

Stara księga kusi tajemnicami. Kolejne sławne nazwisko wraca na łono swojej ojczyzny po długim zapomnieniu.

ŚWIATOSŁAW JANOCZKIN,
ŁUNINIEC-WARSZAWA

MAREK HAŁABURDA, DUCHOWIEŃSTWO DIECEZJI PIŃSKIEJ (1925-1939).

STUDIUM PROZOPOGRAFICZNE, KRAKÓW 2019

Latem 2019 r. nakładem wydawnictwa Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie ukazał się monografia autorstwa Marka Hałaburdy, pracownika naukowego Katedry Europy Środkowej i Wschodniej (obecnie Katedry Historii i Kultury Przestrzeni Totalitarnej) Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, zatytułowana «Duchowieństwo diecezji pińskiej 1925-1939. Studium prozopograficzne». Diecezja pińska została powołana do życia bullą papieża Piusa XI «Vixdum Poloniae Unitas» z 28 października 1925 r. Likwidacja jej struktur nastąpiła po agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 r. Chociaż dzieje kresowego biskupstwa w przedwojennych realiach były krótkie (trwały zaledwie 14 lat), to na jego terenie przez ten czas pracowało wielu gorliwych kapłanów, którzy z poświęceniem dbali o przekazywanie i przechowanie wiary dla przyszłych pokoleń. Jak zaznaczył Autor we wstępie «odegrali oni istotna rolę w umacnianiu odrodzonego państwa, krzewieniu polskiej kultury, szerzeniu oświaty, polepszeniu stanu moralnego i materialnego wiernych, czy w końcu podniesieniu poziomu cywilizacyjnego ziem, na których przyszło im pasterzować». Mimo ogromnego znaczenia duchowieństwa w dziejach mieszkańców Polesia i historii instytucji państwowych dotychczas nie powstało żadne kompleksowe opracowanie, zarówno w Polsce jak i na Białorusi, poświęcone zbiorowości jaką tworzyli księża pińscy. Rozprawa jest więc pierwszą kompleksową monografią, pozwalającą ocalić od zapomnienia kresowych kapłanów. Wpisuje się w nurt badań prozopograficznych nad polskim duchowieństwem w okresie międzywojennym, istotnie wypełniając lukę w historiografii Kościoła katolickiego.

Książka liczy 613 storn. Składa się z sześciu rozdziałów (z których każdy posiada po trzy podrozdziały), wstępu, zakończenia oraz dwóch aneksów: «Spis księży pracujących w diecezji pińskiej w latach 1925-1939» oraz «Kapłani diecezji pińskiej zmarli w latach 1925-1939». Dodatkowym uzupełnieniem jest zestaw 10 ilustracji zamieszczonych na stronach poprzedzających poszczególne rozdziały oraz przybliżające czytelnikowi opisywane zagadnienie oraz osoby z nim związane. Całość zamyka indeks osobowy.

W pierwszym rozdziale została przedstawia charakterystyka diecezji pińskiej. Autor kolejno omawia jej terytorium, podział administracyjny wraz ze zmianami granic do jakich doszło w latach 1925-1939, rozwój sieci dekanalnej i parafialnej w interesującym nas okresie oraz ludność diecezji pińskiej z uwzględnieniem stosunków wyznaniowych i narodowościowych. Rozdział ten stanowi bardzo dobre wprowadzenie do głównego zagadnienia, ukazując specyfikę pracy duszpasterskiej i problemy, z jakimi musiało się zmierzyć duchowieństwo pińskie. Mowa tutaj m.in. o rozległości terytorium, słabej gęstość zaludnienia, biedzie mieszkańców, braku dróg utrudniający przemieszczanie się oraz uciążliwym klimat.

Rozdział drugi poświęcony został strukturze duchowieństwa. Autor omówił najpierw jego stan liczbowy, później pochodzenie terytorialne i społeczne, w końcu przynależność do poszczególnych narodowości, niezmiernie ważne z punktu widzenia położenia terytorialnego diecezji oraz struktury narodowościowej jej mieszkańców. Analizy poświęcone pochodzeniu terytorialnemu i narodowości Autor słusznie zawęził do kapłanów wyświęconych dla diecezji pińskiej, z pominięciem księży, którzy znaleźli się w granicach diecezji po jej utworzeniu w 1925 r. i księży przybyłych w latach 1925-1939 z innych diecezji katolickich w Polsce. Takie

działanie z jednej strony dało możliwość ukazania bardzo ciekawych zależności panujących w badanej grupie, z drugiej zaś strony pozwoliło uniknąć prowadzenia dodatkowych kwerend archiwalnych, obarczonych dużym ryzykiem powodzenia.

W rozdziale trzecim dokonano analizy poszczególnych grup duchowieństwa z zachowaniem hierarchicznych struktur kościelnych. Autor omawia kolejno biskupów-ordynariuszy, sufragana i wikariusza generalnego, a następnie poświęca uwagę osobom wspomagającym ich w zarządzaniu diecezją, czyli: pracownikom kurii diecezjalnej oraz pozostającego w strukturach kurii sądu biskupiego, kapłanom posiadających godności w kapitułach i honory papieskie, dziekanom oraz księżom zasiadających w różnego rodzaju komisjach. Następnie autor przechodzi do omówienia duchowieństwa zaangażowanego bezpośrednio w pracę duszpasterską: proboszczów, wikariuszy, wizytatorów i katechetów, by wreszcie w trzecim podrozdziale zająć się kapłanami oddelegowanymi do pracy w duszpasterstwie o charakterze specjalistycznym: kapelanami wojskowymi, harcerstwa, szpitali zgromadzeń zakonnych i zakładów karnych.

Kolejny, czwarty rozdział dotyczy wykształcenia i przygotowania do kapłaństwa. Rzeczowo przeanalizowano tutaj kwestię wykształcenia kapłanów z podziałem na trzy elementy: wykształcenie zdobyte przed wstąpieniem do seminarium, formacja i nauka prowadząca do bezpośredniego przygotowania do kapłaństwa w seminarium duchownym pińskim oraz dalszy rozwój i uzupełnianie wykształcenia na studiach wyższych w uczelniach polskich i zagranicznych. Dodatkowo zwrócono uwagę na starania pińskich ordynariuszy mające na celu stworzenie odpowiednich warunków do pogłębiania wiedzy teologicznej wszystkim księżom zatrudnionym na terenie diecezji. Służyć temu miały konferencje, kursy, wykłady, odczyty organizowane w Pińsku, a także zjazdy dziekanów i konferencje dekanalne.

Rozdział piąty, to niezwykle ciekawa



analiza poświęcona polityce personalnej biskupów pińskich. Szczegółowo zaprezentowano mechanizmy związane z obsadą stanowisk duszpasterskich w diecezji, z dbaniem o stan i strukturę zatrudnienia oraz ukazuje sposoby wspierania księży w ich pracy duszpasterskiej. Sporo uwagi poświęcono także warunkom bytowym duchowieństwa i specjalnym zasadom finasowania parafii, których wprowadzenie przez bp. Zygmunta Łozińskiego, pozwalało na w miarę normalną pracę księży zatrudnionych w najuboższych parafiach. Rozdział kończą kwestie dotyczące spraw dyscyplinarnych, obrazujące największe wykroczenia i przewinienia duchowieństwa z jakimi przyszło radzić sobie władzom diecezji.

Ostatni rozdział dotyczy działalności duszpasterskiej pińskiego duchowieństwa. Autor odniósł się nie tylko do sprawowania kultu, głoszenia słowa Bożego, nauczania religii w szkołach, ale również do zaangażowania duchowieństwa na płaszczyźnie stowarzyszeń kościelnych i religijnych. Rozdział ten pozwala spojrzeć na duchowieństwo diecezji pińskiej jako grupę zaangażowaną społecznie i pracującą nie tylko na rzecz rozwoju lokalnych społeczności, podniesienia ich poziomu materialnego i cywilizacyjnego ale również jako czynnik odgrywający »»»

»»» istotną rolę w umacnianiu odrodzonego państwa, krzewieniu polskiej kultury, szerzeniu oświaty.

Książkę należy uznać za dzieło ważne. Jest to pionierska praca poświęcona duchowieństwu diecezji pińskiej z lata 1925-1939 w ujęciu prozopograficznym. Jej rangę naukową podnosi wręcz imponująca baza źródłowa. Autor wykorzystał materiały źródłowe przechowywane w: Archivio Segreto Vaticano, Państwowym Obwodowym Archiwum Obwodu Brzeskiego w Brześciu, Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk im. Eustachego i Emilii Wróblewskich w Wilnie, Litewskim Państwowym Archiwum Historycznym w Wilnie, Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie, Bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie. Dodatkowo dotarł do archiwów (archi) diecezjalnych, z których księża przybywali do diecezji pińskiej przed wybuchem wojny lub w których pracowało duchowieństwo pińskie po opuszczeniu terytorium diecezji na skutek działań wojennych i późniejszych repatriacji (Drohiczyn, Siedlce, Wrocław, Olsztyn, Warszawa, Lublin, Kraków, Zielona Góra, Opole, Kielce, Sandomierz, Białystok). Autor sięgnął także do wielu źródeł drukowanych i wykorzystał opracowania na temat diecezji pińskiej, stanowiące jedynie tło dla niniejszej książki. Podziw budzi także nienaganna struktura oraz strona edytorska publikacji. Książka napisana jest dobrym i przystępnym językiem, w sposób ciekawy i zachęcający nie tylko dla historyków ale także dla szerszego grona odbiorców.

Redakcja prezentuje fragment książki Marka Hałaburdy, która bez wątpienia zainteresuje nie tylko osoby duchowne, ale także wielu naszych Czytelników, pochodzących z Polesia i na Polesiu obecnie mieszkających.Marek Hałaburda jest wieloletnim przyjacielem Redakcji, wybitnym badaczem historii Kościoła Katolickiego na Białorusi.

W ciągu niecałych 14 lat istnienia diecezji pińskiej, od jej powstania w 1925 r. do wybuchu drugiej wojny światowej, obowiązki duszpasterskie na jej terenie podjęło w sumie 442 kapłanów, licząc łącznie (duchowieństwo diecezjalne, zakonne, wojskowe oraz obrządku wschodniego). W interesującym nas okresie kanonicznie do diecezji pińskiej przypisanych było 288 duchownych. Zbiorowość tę utworzyły, obok dwóch biskupów ordynariuszy i biskupa sufragana, następujące grupy duchownych: księża mińscy - 68, księża wileńscy - 59 (przyłączeni do diecezji w 1925 r.); księża mohylewscy - 18 (pracujący na kresach północno-wschodnich przed powołaniem do życia diecezji ze stolicą w Pińsku); księża mohylewscy - 9 (przybyli do diecezji po 1925 r., i osiadli tutaj na stałe, do śmierci lub do wybuchu wojny); neoprezbiterzy wyświęceni dla diecezji w latach 1925-1939 - 107 i księża inkardynowani w tym przedziale czasowym z innych polskich diecezji - 24.

Niezależnie od liczebności, duchowieństwo pińskie tworzyło odrębną grupę społeczną, zaliczającą się do elity kresowego społeczeństwa. Była to grupa mająca duży wpływ nie tylko na sprawy religijne, ale również na rozwój życia politycznego, kulturalnego, społecznego oraz na kształtowanie się postaw i idei w społecznościach, wśród których wykonywali obowiązki duszpasterskie. Jak każda grupa społeczna, także księża byli wewnętrznie zróżnicowani. Podział wynikał nie tylko z zajmowanego stanowiska, ale także obowiązków im przypisanych. Najwyższe miejsce w strukturze hierarchicznej diecezji zajmował biskup, a po nim biskup sufragan, wikariusz generalny oraz członkowie kapituły katedralnej, księża pracujący w kurii biskupiej, księża zasiadający w kolegiach, komisjach i urzędach wspomagających biskupa w zarządzaniu diecezją.

W przedwojennych dziejach diecezją kierowało dwóch biskupów. Oprócz ordynariuszy diecezja miała jednego biskupa sufragana ks. Karola Niemirą i jednego wikariusza generalnego ks. Witolda Iwickiego, w czasie wakatu na stolicy biskupiej po śmierci bp. Łozińskiego. Przez cały okres istnienia diecezji od jej założenia do wybuchu wojny urzędy w kapitule katedralnej pińskiej sprawowało 8 kapłanów. W stallach kanonickich zasiadało także 17 kanoników rzeczywistych oraz 13 kanoników honorowych. Ponadto 10 kapłanów posiadało kanonie honorowe w czterech kapitułach należących do innych diecezji: mohylewskiej, wileńskiej, łuckiej i mińskiej. W kurii biskupiej pracowało 46 osób (40 księży i 6 osób świeckich), a w sądzie biskupim - 22 osoby (20 księży i 2 osoby świeckie). Zaszczytu znalezienia się w gronie dostojników dworu jego świątobliwości dostąpiło dziesięciu księży



należących do diecezji pińskiej oraz dwóch w niej pracujących.

Kościół piński w swoich przedwojennych dziejach szczycił się dwoma protonotariuszami apostolskimi nazywanymi infułatami, pięcioma prałatami domowymi, dwoma szambelanami tajnymi nadliczbowymi oraz trzema szambelanami honorowymi nadliczbowymi.

Pozostałe kategorie tworzyli: proboszczowie, rektorzy kościołów, wikariusze, katecheci oraz kapelani wojskowi, harcerstwa, zgromadzeń zakonnych, więzienni, szpitalni. Ważną rolę w diecezji odgrywał personel zatrudniony w wyższym seminarium duchownym.

Najliczniejszą grupę, na której barkach spoczywały obowiązki duszpasterskie tworzyli proboszczowie i wikariusze. Prym wiedli tutaj proboszczowie. Na ogólną liczbę 318 kapłanów diecezjalnych pracujących czasowo lub na stałe w diecezji pińskiej w latach 1925-1939, funkcję proboszcza sprawowało 218 (68,5%). Natomiast spośród 288 księży kanonicznie należących do diecezji pińskiej (łącznie z biskupami), funkcję proboszcza pełniło 197, co stanowiło 68,4% ogółu księży pracujących w diecezji. Jak wykazały przeprowadzone badania liczba proboszczów w diecezji nigdy nie zrównała się z liczbą parafii i innych samodzielnych placówek duszpasterskich. Brak kapłanów spowodował, że aż 42,1% proboszczów wykonywało dodatkowe czynności duszpasterskie. Najczęściej były to funkcje związane z opieką duszpasterską nad dodatkową parafią, kościołem filialnym lub rektoralnym, ewentualnie kaplicą.

Jeszcze mniej w diecezji było wikariuszy. W sumie przez cały okres 1925-1939 przez stanowiska wikariuszowskie przeszło 156 kapłanów. Wśród 107 księży wyświęconych dla diecezji pińskiej, od posady pomocnika proboszcza posługę kapłańską rozpoczęło 84 osób. Na przykładzie obsady stanowisk wikariuszowskich najlepiej widać jak poważnym problemem w diecezji był brak duchowieństwa. W przededniu wybuchu wojny »»»

»»» na 77 istniejących wikariatów, bez obsady pozostawały aż 44.

Kandydaci do seminarium duchowego w Pińsku przybywali z różnych stron Polski. Zdarzali się również aspiranci urodzeni za granicą. Przez cały okres istnienia diecezji do święceń kapłańskich, po ukończeniu kursu nauk seminaryjnych w poleskim alumnacie, doszło 107 kleryków obrządku łacińskiego. Spośród tej grupy 88 osób urodziło się w Polsce, a 15 poza jej granicami. Największą grupę spośród urodzonych w Polsce stanowili klerycy pochodzący z województwa białostockiego, gdzie urodziło się 25 osób, co stanowiło 23,3% wszystkich kleryków. Znacząca liczba alumnów wywodziła się z województwa nowogródzkiego - 16 (14,9%) i wileńskiego - 12 (11,2%). O wiele mniej urodziło się w pozostałych województwach II Rzeczypospolitej: w kieleckim i poznańskim - po 6 (5,6%), łódzkim i warszawskim - po 5 (4,6%), lubelskim - 4 (3,7%), krakowskim i pomorskim - po 3 (2,8%), wołyńskim - 2 (1,8%), lwowskim i śląskim - po 1 (0,9%). Co najciekawsze, żaden z kandydatów do święceń nie urodził się w województwie poleskim. Uzyskany wynik jest o tyle zaskakujący, że diecezja w przeważającej większości rozciągała się na terenach tego właśnie województwa. Nieco mniejsze terytorium diecezji leżało na terenie województwa nowogródzkiego i w najmniejszej części do białostockiego (jeden powiat). Nieco inaczej przedstawia się rekrutacja terytorialna, przy przyjęciu za wyznacznik podziału administracji kościelnej. I tak na 88 księży urodzonych w Polsce i wyświęconych dla diecezji pińskiej do 1939 r. tylko 26 pochodziło z jej terytoriów, co stanowi 29,5% ogółu. Na drugim miejscu uplasowała się archidiecezja wileńska - 22 osoby (25%), a po niej warszawska - 5 (5,6%), gnieźnieńska, podlaska, sandomierska i włocławska - po 4 (4,5%), łomżyńska i łódzka - po 3 (3,4%), kielecka, łucka, poznańska, przemyska i tarnowska - po 2 (2,2%), chełmińska, płocka i śląska - po 1 (1,1%).

Kandydaci urodzeni poza granicami Polski, w zdecydowanej większości wywodzili się z polskich lub mieszanych rodzin, zamieszkujących diecezje położone w guberniach zachodnich dawnego Imperium Rosyjskiego. W dawnej diecezji mińskiej i archidiecezji mohylewskiej urodziły się 3, w archidiecezji ryskiej, administraturze apostolskiej w Estonii - po 2, archidiecezji kowieńskiej, dawnej diecezji kamienieckiej i łucko-żytomierskiej - po 1. Najdalszą drogę do seminarium w Pińsku przebyło dwóch kandydatów urodzonych w Zaborzu (obecnie dzielnica Zabrza), miejscowości z terenów należących do archidiecezji wrocławskiej.

Duchowieństwo pińskie w znakomitej większości wywodziło się z warstwy chłopskiej. Dla rodziców aż 66 (73,4%) kleryków, na wszystkich 94, dla których udało się ustalić pochodzenie społeczne, głównym środkiem utrzymania była praca na roli. Uzyskany wynik wpisuje się w badania prozopograficzne przeprowadzone dla innych diecezji tego czasu i potwierdza, że synowie chłopów stanowili element wiodący w strukturze społecznej duchowieństwa okresu międzywojennego. Z mieszczan, drobnomieszczan, mieszkańców osad i wsi związanych z wytwórczością, działających na rynku usług, zajmujących się kupiectwem i rzemiosłem, wywodziło się 10 księży (10,9%). Niewielu reprezentantów mieli ziemianie, robotnicy i służba kościelna. Osób wywodzących się z tych warstw społecznych było zaledwie po 2 (2,1%).

Sprawy narodowościowe w diecezji pińskiej były bardzo skomplikowane, ponieważ jej terytorium stanowiło prawdziwą mozaiką kulturowo-narodowo-religijną. Jak wykazały przeprowadzone badania, księży mających litewskie, a zwłaszcza białoruskie korzenie nie było tak dużo jakby się mogło wydawać. Wśród 107 kleryków wyświęconych w pińskim seminarium od 1925 do 1939 r., w aktach seminaryjnych adnotacje o przynależności do narodowości białoruskiej odnotowano tylko u ośmiu seminarzystów. Podobnie na 154 duchownych, którzy w 1925 r. utworzyli kadry duszpasterskie diecezji pińskiej, pochodzenie białoruskie lub udział w białoruskim ruchu chrześcijańskim z całą pewnością można przypisać również tylko ośmiu kapłanom. Ze sprawami narodowościowymi rządcy diecezji potrafili sobie radzić, w ten sposób, że łagodzili spory i jednocześnie wspierali polskie organizacji społeczne. Dodatkowo księża, którzy zbyt gorliwie wspierali etnos białoruski, byli w pewnym sensie marginalizowani, poprzez przenoszenie do zachodniej części diecezji, gdzie większość stanowiła ludność polska. Podobny los spotykał świeżo wyświęconych kapłanów urodzonych na wschodzie, oni także trafiali na parafie w

zachodniej części diecezji. Postępowanie takie pozwalało doraźnie opanowywać sytuację, ale w dalszej perspektywie stanowiło zarzewie konfliktów, które mogły wybuchnąć w późniejszym czasie ze zdwojoną siłą. Niemniej jednak faktem jest, że na Polesiu nie występowały konflikty prowadzące do zaspokojenia aspiracji narodowych księży i wiernych narodowości białoruskiej, z którymi mieliśmy do czynienia od początku lat 20. XX wieku na Wileńszczyźnie.

Rozpoczęcie studiów filozoficzno-teologicznych w wyższym seminarium duchownym wymagało od kandydatów zdobycia odpowiedniego cenzusu naukowego. Od samego początku istnienia wyższego seminarium w Pińsku, zasadniczo przyjmowano do niego tylko kandydatów posiadających świadectwo dojrzałości. Zdarzały się wprawdzie wyjątki od tej reguły, w postaci warunkowego przyjęcia, z wymogiem uzupełnienia wykształcenia w trakcie roku szkolnego. Od 1935 r. przyjmowano już tylko i wyłącznie maturzystów. Studia w seminarium trwały sześć lat. Dwa pierwsze kursy filozoficzne traktowano jako kursy przygotowawcze. Cztery pozostałe nazywane teologicznymi stanowiły bezpośrednie przygotowanie do kapłaństwa. Naukę w seminarium kończyły egzaminy (rygoroza), po zdaniu których alumni otrzymywali świadectwa ukończenia studiów. Zwieńczeniem nauki zaś było przyjęcie święceń kapłańskich. Dużą rolę w przygotowaniu do kapłaństwa i uzupełnianiu kadr duchownych w diecezji odegrało także niższe seminarium duchowne w Nowogródku, a później po zmianie siedziby, w Drohiczynie nad Bugiem. Pierwsze szlify na drodze do kapłaństwa zdobywały w tym zakładzie nazywanym także Gimnazjum Biskupa Pińskiego aż 54 (55,1%) osoby, spośród wszystkich studiujących w wyższym seminarium w Pińsku i wyświęconych później na kapłanów.

Formacja intelektualna i ascetyczna nie kończyła się po zakończeniu nauki w seminarium. Władze diecezji dbały o uzupełnianie wykształcenia niektórych księży na studiach akademickich, także po otrzymaniu święceń kapłańskich. W latach 1925-1939 na studia skierowano łącznie 19 kapłanów, na ogólną liczbę 107 wyświęconych (17,7%). Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Uniwersytecie Warszawskim naukę kontynuowało po 4 alumnów, na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie - 1, w Rzymie - 7, a w Paryżu - 3. Jeden kapłan został magistrem jeszcze przed wstąpieniem do seminarium. Podobnie 15 księży przyjezdnych zakończyło studia przed podjęciem obowiązków duszpasterskich w diecezji pińskiej. Dodatkowo 6 miało styczność z ośrodkami akademickimi przed rozpoczęciem studiów w seminarium pińskim. Pod względem poziomu wykształcenia duchowieństwa, diecezja pińska nie odbiegała od innych diecezji tego okresu, choć oczywiście nie mogła się równać z takimi ośrodkami, jako Kraków czy Wilno, gdzie formacja intelektualna alumnów odbywała się na studiach uniwersyteckich. Poza tym biskupi pińscy dostrzegali potrzebę ciągłego pogłębiania wiedzy teologicznej i podnoszenia kwalifikacji przez wszystkich księży zatrudnionych w diecezji. Powszechną formą dokształcania kapłanów w diecezji były rodzaju konferencje, kursy, wykłady, odczyty. Szczególne miejsce zajmowały tak zwane konferencje unijne organizowane każdego roku w gmachu seminarium pińskiego poświęcone zagadnieniom unijnym. Do Pińska z wykładami przyjeżdżali wykładowcy z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie. Księża pińscy chętnie uczestniczyli także w kursach organizowanych dla duchowieństwa przez inne krajowe ośrodki akademickie.

Prowadzenie polityki personalnej w diecezji należało do obowiązków ordynariuszy. W ich gestii znajdowała się obsada poszczególnych stanowisk i urzędów oraz troska o sprawy socjalno-bytowe. Bezpośrednie czynniki determinujące podejmowane w tej kwestii wynikały z liczby kapłanów pozostających do dyspozycji ordynariusza, sieci dekanalnej i parafialnej, gęstości zaludnienia i struktury narodowościowej ludności, uposażenia diecezji i poszczególnych jej parafii. W sprawach tego rodzaju rządcy diecezji zwykle zasięgali opinii członków kapituły katedralnej oraz diecezjalnej rady gospodarczej. Ważną rolę odgrywał również rektor seminarium. W pierwszych latach istnienia diecezji grono zaufanych współpracowników ordynariusza tworzyli kapłani, którzy pracowali z nim już wcześniej w diecezji mińskiej. Dużą rolę w organizowaniu struktur diecezji odegrał w tym okresie zwłaszcza ks. Fabian Abrantowicz. Z czasem do urzędów kierowniczych dochodzili także księża pochodzący z diecezji wileńskiej. Włączanie ich do zarządu diecezji wiązało się z potrzebą zaspokojenia ich ambicji i złagodzeniem stanu ogólnego niezadowolenia »»»

»»» wynikającego z odłączenia od macierzystego biskupstwa. Pomimo takiej polityki ordynariuszy duża część księży wileńskich, nigdy nie pogodziła się z zaistniałą sytuacją i szukała szansy powrotu, a co za tym idzie opuszczenia diecezji pińskiej. Wraz z objęciem rządów w diecezji przez bp. Bukrabę, nastąpiła reforma stanowisk kurialnych, a wraz z nią wymiana dotychczasowych pracowników. Ruch służbowy dotyczył także większości placówek duszpasterskich i stanowił niejako przystosowanie struktur diecezji do nowych realiów i potrzeb duszpasterskich.

Wpływ na prowadzenie polityki personalnej biskupów miały także kondycja finansowa diecezji. Chociaż sprawy gospodarcze i wynagrodzenie nie należą do zakresu badań prozopograficznych, podjęto próbę zarysowania tego problemu. Jednym z celów takiego poszerzenia badań była potrzeba przedstawienia skali problemów, jakie napotykali księża pińscy w swojej karierze kapłańskiej. Diecezja pińska, choć pod względem wielkości terytorium była jedną z największych jednostek przedwojennej administracji kościelnej, pod względem uposażenia duchowieństwa plasowała się na szarym końcu. Przede wszystkim parafie w diecezji mocno różniły się w kwestii kondycji finansowej. Tylko nieliczne były parafiami bogatymi, zdecydowaną zaś większość stanowiły parafie słabo uposażone. Z tego też powodu niektóre placówki duszpasterskie nie cieszyły się zainteresowaniem duchowieństwa pracującego w diecezji. Wyrównaniu dysproporcji służyła instrukcja podziału ryczałtu przekazywanego przez państwo na wypłaty dla duchowieństwa, zgodnie z którą parafie podzielono na pięć kategorii, z odpowiednią wysokością świadczeń. Dokument opracowany przez bp. Łozińskiego i diecezjalną radę gospodarczą w istotny sposób wspierał księży z najbiedniejszych placówek duszpasterskich w diecezji.

Poza zakres rzeczowy przyjętej metody badań wychodzą także zagadnienia dotyczące kondycji moralnej księży. Biorąc pod uwagę posiadany materiał (porównawczy, w postaci ustaleń badaczy dla duchowieństwa innych przedwojennych diecezji), postanowiono jednak nie pomijać tego aspektu, wpisanego niejako w życie każdej zbiorowości społecznej. Jak wykazała przeprowadzona analiza, księża pińscy stanowili dość zdyscyplinowaną grupę. Najwięcej przypadków niesubordynacji wiązało się z łamaniem obowiązku rezydowania w parafiach oraz samowolnym ich opuszczaniem. Drugą poważną bolączką, wynikającą raczej z niedofinansowania duchowieństwa było zaciąganie kredytów wbrew zakazom ordynariuszy. Procederów tych w zasadzie nigdy nie udało się opanować i przypadki tego typu zachowań zdarzały się do końca przedwojennych dziejów diecezji. Księża pińscy często nadużywali też ambony do celów politycznych, jednak - co ciekawe - niezmiernie rzadko diecezją wstrząsały skandale obyczajowe. Jeśli już do nich dochodziło miały one związek z nadużywaniem alkoholu. Nieliczne konflikty z prawem wynikały raczej, z jego nieznajomości lub wprowadzania duszpasterzy w błąd przez parafian.

Podstawowymi obowiązkami kapłańskimi były organizowanie i sprawowanie kultu, głoszenie słowa Bożego, nauczanie religii, organizowanie i opieka nad różnego rodzaju stowarzyszeniami oraz organizacjami społeczno-religijnymi. Działalność duszpasterską skupiała się na czynnościach liturgicznych i paraliturgicznych. Wśród nich centralne miejsce zajmowała Msza św. W diecezji skrupulatnie przestrzegano odprawiania nabożeństw w ściśle określonych, prawem kościelnym, godzinach. Porządek i godziny nabożeństw w diecezji ustalali proboszczowie. Wynikało to w dużej mierze z liczby kapłanów zatrudnionych w danej parafii, z lokalnych tradycji oraz pory roku. W mniejszych ośrodkach parafialnych odprawiano zazwyczaj jedną lub dwie Msze św. w godzinach przedpołudniowych. W większych parafiach celebrowano od 2 do 4 Mszy św. W każdą niedzielę w kościołach śpiewano nieszpory. Poza tym przed Mszą św. i na jej zakończenie, w zależności od poszczególnych okresów roku liturgicznego odprawiano różnego rodzaju nabożeństwa oraz odmawiano przypisane przez prawo synodalne modlitwy.

Władze diecezji ściśle przestrzegały także nakazu głoszenia kazań i nauk katechizmowych podczas mszy niedzielnych i świąt uroczystych. Kościoły w diecezji zapełniały się wiernymi nie tylko podczas świąt kościelnych, ale również przy okazji różnego rodzaju uroczystości państwowych. Wśród nich należy wymienić m. in. rocznicę podpisania Konstytucji 3-Maja, rocznicę bitwy wiedeńskiej czy odzyskania niepodległości. Ważnym wydarzeniem dla tworzenia się tożsamości diecezji były doroczne pielgrzymi do Janowa Poleskiego - miejsca »»»

męczeństwa błogosławionego, później świętego Andrzeja Boboli.

Księża pińscy obok podstawowego duszpasterstwa, rozwijali również inicjatywy diecezjalne i ogólnopolskie. Zaliczały się do nich pielgrzymki na Jasną Górę do Częstochowy i do Ostrej Bramy w Wilnie. Każdego roku w październiku, w katedrze pińskiej, przy asyście księży unickich oraz biskupa obrządku wschodniego, odprawiano uroczyste nabożeństwo ku czci św. Jozafata Kuncewicza. Specjalnie obchodzono uroczystości papieskie, jak choćby dzień rocznicy koronacji papieża. Wielką troską księży pińskich było zapewnienie możliwości uczestnictwa w Mszy św. niedzielnej i otoczenie opieką sakramentalną wiernych zamieszkujących odległe od kościołów parafialnych miejsca w diecezji. Chodziło także o podtrzymanie u pozostających w takiej sytuacji diecezjan życia religijnego i poczucia łączności z Kościołem katolickim i polskością. Droga do tego celu, według ks. Jana Zieji, prowadził przez tworzenie świetlic religijnych i warunków do świątecznych nabożeństw domowych.

Dużą uwagę w diecezji skupiano na katechizacji dzieci i młodzieży. W pierwszej kolejności władze diecezji dbały o odpowiednie wykształcenie księży prefektów. Podnoszeniu ich kwalifikacji, obok studiów wyższych i kursów specjalistycznych, miały służyć organizacje zawodowe skupiające katechetów. Od 1930 r. w diecezji działały dwa koła księży katechetów w Pińsku i Brześciu nad Bugiem. Skupiały one większość księży zatrudnionych w szkolnictwie. W latach 1925-1939 lekcje religii w szkołach na terenie diecezji prowadziło 126 księży diecezjalnych i 4 zakonników (dwóch jezuitów, pallotyn i pijar). Brak źródeł nie pozwala jednoznacznie określić ich stosunku służbowego, a więc ilu z nich zatrudnionych było na etatach nauczycielskich, a ilu miało jedynie kontrakty. Księża katecheci diecezji pińskiej, podobnie jak nauczyciele świeccy, odgrywali nie tylko wielką rolę w podnoszeniu poziomu wiedzy religijnej i kondycji moralnej dzieci i młodzieży w diecezji, ale również przyczyniali się swoją działalnością do krzewienia polskości i wychowania w duchu patriotycznym. Służyły temu organizowane przez duchowieństwo akademie, apele, odczyty i wystawy uświetniające obchody uroczystości państwowych.

Duchowieństwo pińskie czynnie angażowało się w działalność stowarzyszeń i organizacji kościelnych. Prężnie też wspierało wszelkiego rodzaju akcje charytatywne. Dzięki dużej ich aktywności, możliwe było odrodzenie się tradycyjnych ruchów religijnych oraz powstanie i dynamiczny rozwój innych, realizujących nowe formy chrześcijańskiego miłosierdzia. Jedynie w nielicznych ośrodkach parafialnych do wybuchu wojny nie udało się zorganizować komórek Caritas czy też Akcji Katolickiej.

Wybuch wojny spowodował nie tylko likwidację struktur diecezji, ale również rozproszenie duchowieństwa pińskiego, które jako zbiorowość w rzeczywistości przestało istnieć. Niektórym księżom udało się przedostać w rodzinne strony i tam przetrwać okupację. Z ręki okupanta niemieckiego i sowieckiego, zamordowanych zostało 64 księży. Część księży repatriowanych do Polski w nowych granicach, podjęła pracę na terenie administracji apostolskiej w Drohiczynie nad Bugiem lub innych diecezjach. Spora grupa znalazła się w granicach administracji apostolskich utworzonych dla Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, Gdańsku, Gorzowie, Olsztynie i Opolu. Na tych, którzy pozostali na dawnych ziemiach diecezji włączonych do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, czekały łagry, więzienia i ciężkie represje. Księża pińscy z obozów sowieckich wracali jeszcze w latach 60. ubiegłego stulecia.

Powyższe uwarunkowania, a także kwerenda archiwalna podjęta przy opracowaniu niniejszej rozprawy uwidoczniły zagadnienia wymagające dalszych badań i opracowań. Wydaje się, że najbardziej potrzebne jest spojrzenie na problematykę przez pryzmat dokumentów diecezji prawosławnej pińsko-poleskiej, pozostającej w tym czasie i na tym terenie wyznaniem dominującym. Skonfrontowanie źródeł obydwu diecezji pozwoliłoby na szersze poznanie relacji pomiędzy Kościołem katolickim i prawosławnym na terenie Polesia. Niezbędne wydaje się również podjęcie szczegółowych analiz nad dalszymi losami duchowieństwa pińskiego. Poznanie kolei życia kapłanów po utracie diecezji, z punktu widzenia badawczego przedstawia się niezmiernie inspirująco i ciekawie. Dopiero poznanie przebiegu pełnej kariery i postaw księży pińskich w czasie wojny, okupacji i skomplikowanej sytuacji powojennej, stworzyłoby możliwość próby całościowej oceny ich działalności.

MAREK HAŁABURDA



Kierunkowskazem było hasło «droga»

17 września 2021 r., w 82. rocznicę sowieckiej agresji na Polskę, odbędzie się uroczyste otwarcie Muzeum Pamięci Sybiru. Pierwsza w Polsce placówka poświęcona wyłącznie zesłaniom i deportacjom w głąb Rosji i Związku Sowieckiego od XVII do połowy XX w. powstała w Białymstoku.

Muzeum

Muzeum zostało ulokowane w jednym z przedwojennych magazynów wojskowych, bezpośrednio przylegającym do bocznicy kolejowej dawnego Dworca Poleskiego. W latach 1940–1941 oraz w 1944 r. na tej bocznicy Sowieci ładowali do wagonów ludzi deportowanych na Sybir. Również stąd w 1943 r. Niemcy wywieźli do obozu zagłady w Treblince Żydów z białostockiego getta. Oryginalny, rosyjski wagon towarowy z 1892 r., tzw. tiepłuszka, będący symbolem tamtych dramatycznych chwil, stoi dziś wewnątrz budynku Muzeum. Stanowi w sensie dosłownym bramę, przez którą zwiedzający wchodzą na wystawę.

Prosta bryła dawnego magazynu, zbudowanego z czerwonej cegły, kryje w sobie wystawę główną. Z kolei w przylegającym, nowoczesnym budynku obłożonym blachą, znajduje się m.in. sala konferencyjna, magazyny oraz serwująca dania kresowe restauracja. W Muzeum są też pracownie edukacyjne i księgarnia. Cały obiekt został otoczony stalowymi słupami, które z jednej strony symbolizują ludzi wywiezionych na Sybir, z drugiej zaś bezkresną, mroźną, syberyjską tajgę. Autor koncepcji aranżacji budynku Muzeum, architekt Jan Kabac, twórca wielu innych interesujących projektów użyteczności publicznej na terenie całej Polski, wyjaśnia tę symbolikę następująco: – Naszym kierunkowskazem było hasło «droga». Syberia, dokąd wywożono Polaków, jest czymś tak odległym, że pokonanie tej trasy wydaje się dzisiaj niewyobrażalnym wysiłkiem, jest w tym jakiś bezkres nieludzki. Długość magazynu dobrze do tej opowieści przystaje: idziemy, idziemy i końca nie widać.

Adaptację dawnych pomieszczeń magazynowych i postawienie nowego budynku sfinansowano z budżetu miasta Białystok oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Wystawa

Rozmieszczona na powierzchni ponad 2 tys. mkw wystawa główna opowiada o obecności Polaków w zauralskiej części Rosji i w Kazachstanie między wiekiem XVII, a pierwszą połową wieku XX. Jej pierwsza część, znajdująca się na parterze, jest przestrzennym, wizualnym i dźwiękowym wyobrażeniem przedwojennego świata wschodniego pogranicza Polski i jego mieszkańców. Przesuwające się przed oczami zwiedzających fotografie i filmy przedstawiają uściski dłoni najeźdźców z września 1939 r., powiewające na wietrze czerwone flagi z wymalowanymi w różnych językach komunistycznymi hasłami, porzucone w pośpiechu dziecinne zabawki. Symbolami tego czasu są spakowane w panice walizki i stukot kół wagonów wiozących ludzi na wschód.

Drugą część opowieści, zlokalizowaną na piętrze, symbolizuje biała, pusta przestrzeń: to Sybir. Historyczna narracja zatacza tu pętlę: wysiadający z wagonów deportowani (a wraz z nimi także zwiedzający wystawę) natykają się nie tylko na ślady Polaków, którzy zostali tu zesłani w czasach carskich, ale też dobrowolnych osadników chłopskich, polskich naukowców, przemysłowców i urzędników w carskiej służbie, a także rodaków deportowanych w latach 30. XX w. z tej części dawnych Kresów, która została zajęta przez bolszewików po rewolucji. Są to w gruncie rzeczy dwa światy: świat mroźnej, »»»





»»» syberyjskiej tajgi i świat kazachskiego, pustego stepu. Każdy na swój sposób piękny i okrutny zarazem. Niewyobrażalne cierpienie przeplata się tu z brawurową odwagą, poniżenie i śmierć z ambicją i żądzą lepszego życia, porażka z wielkim sukcesem, a ludzka pasja – ze zrządzeniami ślepego losu. Zwieńczeniem tej historii są portrety Sybiraków rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, którzy przeżyli tę gehennę, a także ich dzieci i wnuków.

Ale jest jeszcze jeden element ekspozycji, który wyłamuje się z tej w gruncie rzeczy optymistycznej symboliki. Z jasnej, pogodnej sali przedstawiającej Sybiraków i ich rodziny, zwiedzający schodzą jakby do grobu: do ciemnej sali pokrytej rdzawą blachą, której centralnym punktem jest sylwetka klęczącego żołnierza wykonana z guzików od wojskowych mundurów. To miejsce to Memoriał Zbrodni Katyńskiej. Na jego ścianach wyryto nazwiska 17941 ofiar sowieckiej zbrodni z 1940 r., popełnionej na polskich oficerach wojska, policji, straży granicznej. Kilka ścian jest pustych, ponieważ nazwiska prawie 4 tys. ofiar nie są dotąd znane. Memoriał będzie trzecim miejscem w Polsce, w którym zostaną wyeksponowane oryginalne przedmioty wydobyte z katyńskich grobów.

Wystawę główną zaprojektowała belgijska firma Tempora S.A., która wcześniej uczestniczyła m.in. w realizacji Memoriału Bitwy pod Waterloo, Muzeum Europy w Brukseli czy wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Wystawę zaprojektowano w oparciu o najnowsze trendy w światowym muzealnictwie: nowoczesne multimedia zestawiono z narracją historyczną, metaforyczne wizje artystów – z oryginalnymi eksponatami związanymi z Sybirem. Do najcenniejszych przedmiotów należą m.in.: modrzewiowy obelisk, ręcznie wykonany przez zesłanych na Syberię uczestników Powstania Styczniowego czy obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, będący w posiadaniu kilku pokoleń jednej rodziny, której członkowie byli zarówno zsyłani na Syberię po Powstaniu Styczniowym, jak również deportowani na wschód przez Sowietów. Z kolei o nowoczesności całego przedsięwzięcia mogą świadczyć następujące dane: na wystawie zainstalowano 29 projektorów multimedialnych i 95 urządzeń audio, a także 9 interaktywnych kiosków. Do użytku zwiedzających będą również okulary

VR i audioprzewodnik ze ścieżkami dźwiękowymi w 7 językach (polskim, rosyjskim, białoruskim, ukraińskim, litewskim, łotewskim i angielskim), ścieżką z audiodeskrypcją dla osób niewidomych i niedowidzących, a także ścieżką dla osób niesłyszących i niedosłyszących z lektorem języka migowego.

Zespół

O potencjale Muzeum stanowi także jego zespół. – Mając na uwadze doświadczenia innych muzeów historycznych wiedziałem, że nie mogą dominować tylko historycy – mówi prof. Wojciech Śleszyński, dyrektor placówki. – Mają oni stanowić trzon działań merytorycznych, ale kwestiami np. estetycznymi powinni się zająć eksperci w tej dziedzinie. Udało się pozyskać do pracy nad wystawą specjalistów od grafiki komputerowej i multimediów, artystów plastyków. Ponieważ temat jest trudny, wymaga specjalnej oprawy. Forma jest tu bardzo ważna. Musi być wyważona, a jednocześnie intrygująca. W Muzeum pracuje więc scenograf, który odpowiada za efekty teatralne. Trzy osoby są absolwentami Akademii Sztuk Pięknych. W dziale gromadzenia zbiorów zatrudnieni zostali specjaliści w dziedzinie konserwacji i digitalizacji. Są oczywiście pracownicy, którzy ukończyli studia muzealnicze. Przed otwarciem placówki wiele osób pracowało po godzinach, z własnej woli.

– Większość z nich ma świadomość, że zdarzyła im się raz w życiu szansa, by tworzyć pionierskie muzeum, podejmujące bardzo ważny dla Polaków temat, którego skala znacznie wykracza poza nasz kraj. Wszyscy zdają sobie z tego sprawę i mają z tego powodu dużą frajdę. Nikt tu nie jest tylko dla pieniędzy, zarobki nie są nawet na poziomie średniej krajowej. A miarą ich zaangażowania niech będzie fakt, że w pandemicznym 2020 roku, kiedy prace nad wystawą stałą toczyły się pełną parą, udało się nam wydać 17 publikacji w nakładzie 30 tys. egzemplarzy – mówi dyrektor Śleszyński.

Na uroczyste otwarcie Muzeum Pamięci Sybiru zaproszono najwyższe władze państwowe z prezydentem RP Andrzejem Dudą na czele, a także byłych prezydentów: Lecha Wałęsę i Aleksandra Kwaśniewskiego, a przede wszystkim Sybiraków z całego świata.

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU



Drodzy Czytelnicy,

Pragniemy dziś zaprezentować Państwu fragment wspomnień o życiu na Polesiu w dwudziestoleciu międzywojennym śp Bogdana Mielnika. Bogdan Mielnik, urodzony w Telechanach, tam też spędził swoje szczęśliwe dzieciństwo. Był wielkim Przyjacielem Redakcji, naszym stałym autorem i tłumaczem tekstów z języka rosyjskiego i białoruskiego. Był wiernym synem ziemi poleskiej, wiele razy do niej powracał. W roku 2010 nasza Redakcja wspólnie z Fundacją Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im.T.Goniewicza wydała książkę wspomnień Bogdana Mielnika «Moje Telechany» jako dodatek do kwartalnika «Echa Polesia». Dzieło to wzbudza podziw i uznanie, a wielkie umiłowanie Ojczyzny – szacunek. Bogactwo treści i forma tej niezwykle interesującej książki zachęcają do lektury.Bogdan Mielnik zostawił nam także swoje notatki, artykuły, fotografie. Podzielimy się nimi z Państwem także w kolejnych numerach «Ech Polesia».

BOGDAN MIELNIK "MOJE TELECHANY"

MÓJ KANAŁ OGIŃSKIEGO

Szybko idę wzdłuż szerokiego rowu o zdewastowanych brzegach, z cienką stróżką mętnej wody na dnie. A był tu przecież wspaniały spławny kanał, długi na pięćdziesiąt parę kilometrów, z dwunastoma śluzami. Fundatorem tej wspaniałej wodnej budowli powstałej dwa wieki temu, był Wielki hetman litewski, Michał Kazimierz Ogiński.

Uważam, że dzisiejsza powszechna niepamięć o złotym wieku Polesia w latach budowy kanału, to duża wyrwa w zasobie historycznej wiedzy o tej ziemi. Jej degradacja poszła tak daleko, że na niektórych współczesnych mapach, kanału Ogińskiego w ogóle nie ma, albo jest zaznaczony tylko w postaci bezimiennej kreski

Mój sentyment do Telechan i kanału Ogińskiego zrodzony w latach wczesnego dzieciństwa, nie wygasł we mnie nigdy. W minionym ćwierćwieczu, poświęciłem sporo czasu na dosyć rzetelne poznanie historii tej ziemi. Wiele godzin prześlęczałem nad pożółkłymi stronicami bibliotecznych skarbów, przyswajając razem z wiekowym kurzem zapisaną w nich historię krótkich niestety, złotych czasów mojego Polesia sprzed dwustu lat.

Michał Kazimierz Ogiński urodził się w 1728 roku. Jego ojciec Tadeusz Józef, był jak na ówczesne społeczne stosunki, osobowością nieprzeciętna. Nie posiadając magnackiego rodowodu, piastował na Litwie urząd wojewody w Trokach. Wprawdzie matka Michała pochodziła ze starego książęcego rodu Wiśniowieckich, ale zgodnie z ówczesnym polskim prawem, tytularne godności nie przechodziły na potomstwo «po kądzieli».

Michał Kazimierz był jedynym męskim potomkiem wojewody. Rosnąc w otoczeniu swoich sześciu sióstr, przyswoił cechę wręcz kobiecego dbania o swoją urodę. Po przedwczesnej śmierci ojca, mały Michał został podopiecznym swojej babki Eleonory, osoby słynącej z dziwactw i ekstrawagancji. Potem przeszedł jeszcze przez ręce trzech opiekunów. Swojego dziada ze strony matki Wiśniowieckiego, następnie witebskiego wojewody kuzyna 50 Marcjana Ogińskiego i wreszcie za zgodą króla trafi ł na dwór księcia Michała Czartoryskiego.

Pomimo iż młody Ogiński aż do osiągnięcia dojrzałego wieku wychowywał się na kilku znakomitych dworach, gruntownego

wykształcenia nie zdobył w żadnej dziedzinie. Według mu współczesnych, miał rozliczne, ale powierzchowne zainteresowania. Okazywał je poza udziałem w życiu politycznym kraju, w znacznym stopniu inżynierii budowlanej. Jednakże jego życiową pasją jeśli wręcz nie miłością, była muzyka.

Nienaturalna mnogość osób kształtujących osobowość Michała Kazimierza Ogińskiego, w efekcie stworzyła z niego postać nieprzeciętną. Współcześni oceniali go jako człowieka wysoce inteligentnego, ale o charakterze trudnym, pełnym przywar. Ogiński stawiający swoją osobę ponad wszystkimi, był chorobliwie żądnym sławy, kapryśnym egocentrykiem o chwiejnych poglądach. Ta bezkrytyczna, wręcz chora miłość do swojej osoby, wywołała w Ogińskim głęboką niechęć do Stanisława Augusta Poniatowskiego, kiedy ten został obrany królem Polski. Ogiński bowiem uważał, że korona należała się jemu.

Innym przejawem jego poczucia «nadwartościowości», było wywołanie skandalu w Petersburgu, gdzie przebywał na dworze carycy Katarzyny II. Na audiencji przyjęty został przez monarchinię życzliwie, ale niebawem utracił jej przychylność. Powodem tej zmiany, stał się konflikt Ogińskiego z dygnitarzami carskiego dworu. Odnosząc się do książęcych osobistości z kręgu przyjaciół carycy z wyrazem pełnym wyniosłego chłodu, wzbudził w nich żywą nienawiść do siebie. To «krótkie spięcie» na carskim dworze, z kolei ugodziło jego dumę. Spowodowało głęboką niechęć do Rosji, ale jednocześnie zbliżyło do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Nie należy sądzić, żeby wygórowana ambicja Ogińskiego została zaspokojona objęciem w 1765 roku urzędu wileńskiego wojewody, co łączyło się to z pozyskaniem szeregu nowych majątków. Urząd przejął po księciu Karolu Radziwille znanym jako «Panie Kochanku», który za wrogą Polsce polityczną działalność, został zmuszony do udania się na wygnanie.

Objęcie przez Ogińskiego wysokiego urzędu wojewody, wyzwoliło w nim twórczą pasję udowodnienia światu własnej wielkości. Nie licząc się z kosztami realizacji tego marzenia, zaczął przeistaczać swoją poleską posiadłość w Słonimiu w istną siedzibę muz, która zyskała niebawem miano Aten Północy. Przepych pałacu o stu szesnastu pokojach, który stał się rokokowym klejnotem i bajeczność otaczających go ogrodów, gości wojewody wprawiały w zdumienie i zachwyt.

Swoją «śmiertelną chorobę» miłości do muzyki, Ogiński potwierdził budową w Słonimiu wspaniałego gmachu opery. Twórcą tego niezwykle pięknego obiektu był włoski architekt teatralny i malarz, Innocente Maraino. Stworzył on w Polsce wiele wspaniałych wnętrz, między innymi w Warszawie, w Teatrze Narodowym i ujazdowskim zamku, a także za granicą, jak choćby we włoskiej «La Scali».

Wojewoda Michał Kazimierz Ogiński, człowiek nurzający się w zbytku i wręcz uzależniony od piękna muzyki, nie zapisał się w oczach potomnych wyłącznie jako roztrwaniasz swojego majątku, w celu pędzenia rozkosznego żywota. Niebawem zaczął przeznaczać wielkie kwoty pieniędzy na gospodarczy rozwój swoich włości, należących uprzednio do rodów Dolskich i Wiśniowieckich. Kiedy w Słonimiu powstawała «siedziba muz», jednocześnie zbudowano tam drukarnię i manufaktury wytwarzające sukno i gobeliny.

Swoje młodzieńcze niesprecyzowane zainteresowania inżynierią, Ogiński przyoblekł teraz w realne kształty. Przez nieprzebyte poleskie puszcze i bagna, zbudowany został trakt łączący Słonim, poprzez Pińsk z Wołyniem. Budowa traktu poza ogromnym finansowym nakładem poniesionym przez wojewodę, kosztowała Polesie wytrzebieniem wielkich połaci dębowych lasów. Dla utwardzenia drogi biegnącej przez trzęsawiska i bagna, zużyto dziesiątki tysięcy dębowych pali.

Jednakże wiekopomnym dziełem życia Ogińskiego, było zbudowanie na Polesiu kanału łączącego ze sobą rzeki, spływające do basenów mórz bałtyckiego i czarnego. Wprawdzie takie marzenie snuł już »»»

»»» sto lat wcześniej książę Bogusław Radziwiłł, ale wówczas skończyło się na mrzonce. Inspiratorem Ogińskiego do podjęcia tego dzieła, był niezwykle światły człowiek Marcin Butrymowicz, piński miecznik i grodzki sędzia. Nie można tutaj pominąć istotnego faktu, że to właśnie piński miecznik Butrymowicz swoimi gospodarczymi sukcesami wzbudził u króla Stanisława Augusta ogromne zainteresowanie ziemią Polesia.

Kanał powstał w latach 1767-1783, okupiony znojem i potem tysięcy budujących go pańszczyźnianych chłopów. Ile ofiar śmiertelnych pochłonęła jego budowa, tego nie odnotowały żadne kroniki. Zachowane dokumenty świadczą tylko o kosztach budowy kanału, jakie poniósł Ogiński. Wyniosły one astronomiczną na ówczesne czasy kwotę, dwunastu milionów złotych.

Żeglowny kanał płynący przez bory i błota Polesia, połączył sobą rzeki Szczarę i Jasiołdę, będące dopływami rzek Niemna i Prypeci, wpadającej do Dniepru. Z kolei wody Niemna i Dniepru, spływają do mórz. Niemna do Bałtyckiego, a Dniepru do Czarnego. Tak oto dzięki wybudowaniu kanału, Polesie uzyskało dostęp do morskich portów na południu i północy Europy. W drugim roku budowy kanału, w życiorysie Michała Ogińskiego zaszły istotne zmiany. Do kraju powrócił z wygnania książę Karol Radziwiłł «Panie Kochanku», po którym Ogiński objął urząd wileńskiego wojewody. Teraz musiał mu go zwrócić, lecz odbyło się to bez uszczerbku na jego honorze. Zaowocowała tutaj poprawa stosunków z królem, która nastąpiła po konflikcie Ogińskiego z dworem carycy Katarzyny II.

Stanisław August Poniatowski zadośćuczynił Ogińskiemu utratę urzędu wojewody, wręczając mu buławę Wielkiego hetmana Litwy. Wprawdzie wojsko było rzeczą ostatnią w długim szeregu zainteresowań i wiedzy nowego hetmana, ale urząd ten zdecydowanie poprawiał status jego magnackiej pozycji.

Ogiński wyniesiony do godności hetmana, obwieścił o budowie kanału Sejmowi Rzeczpospolitej, obradującemu w 1768 roku. W płomiennej i panegirycznej przemowie, przedstawił przyszłe korzyści płynące z tego tytułu dla państwa. Sejm inicjatywę Ogińskiego ocenił bardzo wysoko. W uznaniu wagi tego przedsięwzięcia dla kraju, nagrodził hetmana częściowym zwrotem kosztów budowy, nadając mu dwie leżące na Polesiu miejscowości z przyległymi włościami. Także jeszcze przed oddaniem kanału do użytku, Sejm przyznał hetmanowi podatkową ulgę na drewno eksportowane przez morskie porty.



Wielki hetman Księstwa Litewskiego Michał Kazimierz Ogiński. Podobizna według rysunku C.P. Marilliera.

W latach budowy kanału, w Polsce zawiązana została konserwatywna magnacka konfederacja, zwana od miejsca powstania barską. Ogiński będąc uczestnikiem konfederacji, po jej rozbiciu został zmuszony na czas jakiś opuścić kraj. Na pokrycie emigracyjnych kosztów pobytu we Francji, została sprzedana posiadłość hetmana Nieborów.

Kiedy Ogiński powrócił z emigracji, skorzystały na tym jego posiadłości na Polesiu. Oprócz Słonimia, który został teraz główną rezydencją hetmana, powstały nowe w Telechanach i Siedlcach. Ta ostatnia jakoś nie zyskała sympatii właściciela i dosyć szybko

została zaniedbana. Natomiast telechańska budowla, będąca darem hetmana dla jego siostry byłej mniszki Honoraty Ogińskiej, z czasem przerodziła się w istny klejnocik. Pałac ten otaczał bajeczny park podzielony na cztery kwartały, z których każdy urządzony był w innym stylu. W ogrodach tych, hetman zniewolony pięknem muzyki, kazał zbudować gmach opery.

Budowlę zaprojektował i wykonał dekorację wnętrza, znany już ze Słonimia Włoch Innocente Maraino. Pałac i gmach opery wraz z ogrodami,, leżały na przeciwnym brzegu kanału niż Telechany i nie należały do nich. Ogiński nadał im bowiem nazwę Honoracina.

Plany hetmana dotyczące tego kompleksu, nigdy nie zostały zrealizowane do końca. I tak na przykład nie pobudowano potężnych arkad, które miały połączyć kwartały parku leżące nad kanałem, z jego drugim brzegiem po stronie Telechan.

W pałacu Honoraty Ogińskiej, swego czasu gościł nawet król Stanisław August Poniatowski, odbywający podróż z Warszawy do Nieświerza. Hetmana w tym czasie nie było w Polsce, przebywał w Holandii. Wobec tego, honory gospodarza domu czyniła jego siostra Honorata. Kiedy kawalkada królewskich karet zbliżała się do Telechan, powitały ją wiwatujące armatnie salwy. Król popasając w Honoracinie, zachwycał się pięknem pałacu i otaczających go ogrodów. Wieczorem zaś, po obejrzeniu w teatrze wystawionej na jego cześć opery, wyraził podziw dla kunsztu śpiewaków i orkiestry. Jak stoi w kronikach, król napisał później listy do hetmana, jego żony i siostry, dziękując za tak wspaniałą gościnę w Honoracinie.

Ciekawostką z życia Ogińskiego może być fakt, że człowiek ten równający siebie z koronowanymi głowami, osobiście nigdy nie gościł w swoich posiadłościach żadnego monarchy. Dotyczyło to zarówno pobytu króla Poniatowskiego w Honoracinie, jak i przebywającego w Słonimiu cara Rosji Pawła I-go, kiedy ten po drugim rozbiorze Polski, zwiedzał zaanektowane ziemie.

Moim zdaniem, mieszkańców Telechan powinien wielce satysfakcjonować fakt, że hetman Ogiński właśnie ich małą wówczas osadę, darzył tak szczególną sympatią. Budując za własne fundusze żeglowny kanał długości pięćdziesięciu trzech kilometrów z dwunastoma śluzami i przystanią, nazwał go kanałem Telechańskim. Obecną nazwę, czyli nazwisko swojego fundatora, kanał otrzymał dopiero po jego śmierci w 1800 roku.

W tym samym czasie, kiedy budowano kanał, z decyzji hetmana Ogińskiego w Telechanach powstała fabryka wyrobów fajansowych, huta szkła i manufaktura produkująca sukno. Tę ostatnią jako pomysł nietrafiony, niebawem zlikwidowano. W rozwoju obu pozostałych fabryk, rolę pierwszorzędną odegrała budowa kanału, gdyż na bezdrożach Polesia był on w tamtych czasach najdoskonalszą arterią komunikacyjną. Poza spławianiem do morskich portów bogactwa tej ziemi drewna, wywożono nim daleko poza granice Polski wyroby z telechańskich fabryk. Zza granicy natomiast, tą samą drogą sprowadzano komponenty niezbędne do ich produkcji, oraz przeróżne towary handlowe.

Od swoich narodzin, kanał z niewielkimi przerwami służył poleskiej ziemi prawie sto pięćdziesiąt lat. Jednakże swojej ojczyźnie Polsce, kanał służył niestety krótko. Te półtora wieku służby, w większości przypadło na lata zaboru ziemi poleskiej przez carską Rosję, czyli na okres po trzecim rozbiorze Polski.

W ciągu tych stu pięćdziesięciu lat swojego życia, kanał parokrotnie ulegał dewastacji. Najgorsze zniszczenia następowały podczas wojen, które w międzyczasie przetaczały się przez te ziemie.

Podczas napoleońskiej wojny wskutek wojennych działań, kanał był niszczony zarówno przez wojska francuskie, jak i rosyjskie. Po jej zakończeniu, Rosjanie doceniając gospodarcze znaczenie kanału, odbudowali go przy pomocy najlepszych wojskowych specjalistów bardzo szybko.

Jednymi z najlepszych lat dla kanału Ogińskiego, była druga połowa dziewiętnastego wieku. Ponad czterdzieści lat »»»



Fotografia z XIX-go wieku. Ten miniaturowy parostatek służył Zarządcy kanału Ogińskiego, którym wówczas był J. Eisensztadt.

»»» nad jego doskonałym stanem technicznym i prawidłową eksploatacją, czuwał inżynier Joszua Eisensztadt. Pochodził z Wilna. Szukając pracy po studiach «zaczepił się» w Telechanach, w ówczesnym urzędzie eksploatacji kanału.

Eisensztadt zakochał się w Polesiu, Telechanach i kanale Ogińskiego. Jemu też poświęcił swoją wiedzę i całe zawodowe życie. Będąc obywatelem Telechan, zapisał się w pamięci żydowskiej społeczności jako jej wielki darczyńca. Między innymi, był fundatorem trzeciej w miasteczku synagogi, która powstała w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Była to synagoga ortodoksyjna.

Znamienny jest fakt, że pamięć o Telechanach i kanale Ogińskiego zachowali potomkowie Eisensztadta, mieszkający od trzech pokoleń w Stanach Zjednoczonych.

Synagoga ortodoksyjna w Telechanach. Fotografia z końca XIX wieku.



Podczas pierwszej światowej wojny w latach 1915-1918, na przeciwległych brzegach kanału, pozycyjną wojnę prowadziły przeciwko sobie dwie wrogie armie, rosyjska i niemiecka.

Wskutek trzyletnich wojennych działań na linii kanału, chluba Telechan kanał Ogińskiego został w ogromnym stopniu zdewastowany. Zniszczeniu uległy wszystkie śluzy. Niemcy wymyślili szatański sposób ochrony swoich wojsk przed atakami rosyjskiej konnicy. Na przestrzeni wielu kilometrów, w dno kanału zostało wbitych tysiące wysokich żelaznych pali. Na nich rozpięto drucianą siatkę, oddzielającą od siebie oba brzegi, zajęte przez wrogie sobie wojska. Wiele odcinków brzegu kanału uległo zniszczeniu, a dno zamuleniu lub zasypaniu.

Niebawem po odrodzeniu się polskiego państwa w 1918 roku, w Telechanach zostało powołane do życia Przedsiębiorstwo Odbudowy Kanału Ogińskiego. W trudnych warunkach rozkołysanej gospodarki niedawno odrodzonego kraju, przedsiębiorstwo borykało się z ogromnymi kłopotami na drodze swoich zadań. Fachowców od wodnego budownictwa poszukiwano w całej Polsce. I tutaj zaskakującym jest fakt, że przy budowie skomplikowanych drewnianych konstrukcji śluz, najwyżej cenionymi fachowcami okazali się żydowscy cieśle, zwerbowani do tych robót w różnych zakątkach Polski. Pomimo różnorakich trudności, już w 1924 roku na tym wodnym szlaku została przywrócona pełna żeglowność. Przy rzadkiej sieci marnych poleskich dróg, kanał wciąż pełnił bardzo ważną gospodarczo rolę. Nic więc dziwnego, że administracyjne władze Polesia, poświęcały kanałowi Ogińskiego tyle uwagi. W Telechanach, w dziesięcioleciu poprzedzającym wybuch drugiej światowej wojny, pieczę nad sprawnym funkcjonowaniem ponad połowy długości kanału od Łohiszyna po jezioro Wygonoskie, pełnił nadzorca wodny pan Bronisław Dauksza, dobry znajomy moich rodziców.

Jednak służba kanału Ogińskiego dla Drugiej Rzeczpospolitej, trwała niespełna szesnaście lat. Wybuchła druga wojna



Gromadzenie materiału na odbudowę kanału Ogińskiego, po zakończeniu I-szej światowej wojny.

światowa, najstraszliwsza w dziejach ludzkości.

Po roku 1939 najpierw podczas sowieckiej, a następnie niemieckiej okupacji, kanał utracił jakiekolwiek gospodarcze znaczenie. Przestał istnieć ruch pasażerski i towarowy wodną drogą. Transport w tym rejonie Polesia przerzucono na konne furmanki, kolej wąskotorową, a nawet na ówczesne ciężarowe samochody.

Kanał pozbawiony wszelkiego nadzoru technicznego, popadał w ruinę.

Nieużywane śluzy niszczały, brzegi zarastały krzewami i szuwarami. Wspaniałe dzieło hetmana Ogińskiego ginęło. «Matka» przyroda zazdrośnie odbierała wydarte jej ponad sto pięćdziesiąt lat wcześniej obszary ziemi.



Widok na kanał Ogińskiego po odbudowie. Fotografia z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Po zakończeniu drugiej światowej wojny w 1945 roku, sowieckie władze zagospodarowując Polesie, uznały kanał Ogińskiego za nieprzydatny pod jakimkolwiek względem. Został on pozostawiony całkowicie swojemu losowi.

Proces ostatecznego uśmiercenia tej wspaniałej hydrobudowy, był głównie dziełem człowieka. Przysłowiowym gwoździem do trumny, stał się tutaj dokonany z wielkim rozmachem, lecz niestety nieprzemyślany program osuszania poleskich bagien. To on spowodował, że z niszczejącego koryta kanału pozbawionego śluz, zniknęła woda.

W wyniku realizacji tego «szalonego» programu melioracji Polesia, obniżył się tragicznie poziom gruntowych wód. Na tak «zagospodarowanych» terenach pozbawionych naturalnej wilgoci, ginęła wszelka roślinność.

Nieskończone swoim obszarem, kipiące bogatym życiem poleskie bagna i zawsze wilgotne łąki, stały się z czasem jałową, bezużyteczną równiną szaro-rudego koloru. Teoretycznie wspaniały program zamienienia «bezużytecznych» bagien na ziemię rodzącą chleb, okazał się dla Polesia tragicznym niewypałem. Uczonym twórcom tego rodem z piekła pomysłu nie przyszło do głowy, że osuszone bagno nie zamieni się w życiodajną glebę rodzącą złotą pszenicę.

Po osuszeniu kilkudziesięciu tysięcy hektarów bagien, pozyskane gdzieniegdzie połacie uprawnej ziemi były liche, jałowe i słabo wydajne.

Oprócz unikalnych na skalę Europy poleskich bagien, w ogromnym stopniu zostało również spustoszone drugie bogactwo tej ziemi, lasy. Były one trzebione bez opamiętania przez setki lat. Poleska knieja kurczyła się z biegiem czasu coraz bardziej.

W międzywojennym dwudziestoleciu, w lasach państwowych były podjęte jakieś działania w zakresie planowej gospodarki. Niestety, większość lasów była prywatną własnością, i te wycinano bezlitośnie. Dla właścicieli lasów, był to przecież »»»

»»» najprostszy sposób na szybkie wzbogacenie się. W latach Drugiej Rzeczpospolitej, leśne kompleksy otaczające Telechany, były dosłownie oblepione tartakami.

Lasy ucierpiały straszliwie także podczas ostatniej wojny, kiedy to niemiecki okupant dokonał w nich przerażających spustoszeń. Wtedy nie robiono wyrębu w zimowym sezonie, jak tego wymaga zdrowy rozum leśnej gospodarki. Drzewa wycinane były okrągły rok i po strakowaniu na belki i deski, wysyłane do niemieckiej Rzeszy.

Pierwsze lata po zakończeniu wojny, Rosjanie także cięli las bez żadnego gospodarczego programu. A zapotrzebowanie na drewno było wówczas ogromne. W pierwsze powojenne lata, było ono na Polesiu jedynym materiałem budowlanym i opałowym. Zanim odbudowano w Rosji zniszczone podczas wojny kopalnie węgla, jako opału używano wyłącznie drewna nawet w energetyce przemysłowej i na kolei w parowozach.

Tak oto, ludzka okrutna bezmyślność przeobraziła oblicze Polesia. A przecież ćwierć wieku temu, choć już mocno zdewastowane, Polesie wciąż było jeszcze żywym wulkanem nieokiełznanej przyrody. Takie było to moje Polesie. Wracając tutaj po dwudziestu trzech latach, ujrzałem jego żałosną karykaturę.

Stoję i patrzę na to, co zostało po kanale Ogińskiego. Kanału nie ma. Kanał umarł. Został uśmiercony. Po prawie stu pięćdziesięciu latach służby ludziom. A teraz nawet na niektórych mapach, jest tylko bezimienną kreseczką.

Dla mnie kanał Ogińskiego istnieć nie przestał. W pamięci mojej odcisnął zbyt głęboki ślad wspomnień, abym mógł pogodzić się z jego śmiercią.

TELECHAŃSKA "CIUCHCIA"

W smętnym nastroju idę wzdłuż szerokiego zaniedbanego rowu, z cienkim pasemkiem stojącej wody na jego dnie. A jeszcze niespełna trzydzieści lat temu, rów ten był korytem kanału Ogińskiego! Oczami wyobraźni chcę widzieć głęboki nurt jego czystej wody w szerokim korycie.

Zagłębiony w myślach nawet nie zauważyłem, kiedy drogę zastąpił mi wysoki, choć rozpadający się nasyp ziemny, biegnący prostopadle do kanału. Koryto kanału rozrywa go na dwie części. Na drugim brzegu nasyp rozpoczyna dalej swój bieg, aby opadając łagodnie zniknąć w zaroślach, pokrywających niegdysiejsze łąki.

Nasypem tym biegły tory wąskotorowej kolejki, z Telechan do tartaku w Rzeczkach. Nad kanałem nasyp spięty był mostem. Most był drewniany, zbudowany z potężnych bali. Przypomniałem sobie, jak zazdrościłem starszym chłopakom, którzy z tego mostu skakali do wody. Zazdrościłem, ale skakać bałem się, jak zresztą pozostali chłopcy z naszej paczki. Do tchórzostwa jednak żaden z nas nigdy nie przyznał się, wymyślając i łżąc różne wymówki.

Teraz skoczyłbym bez wahania, ale jak to zrobić, skoro mostu nie ma, a i wody w kanale także... Most pewnie nie zdążył zawalić się ze starości, bo został rozebrany, a drewno z niego dobrzy ludkowie rozszabrowali na opał. Po co komu teraz most, skoro nie jeździ po nim kolejka?

Nasyp i most przez kanał, zbudowano na początku dwudziestych lat ubiegłego wieku. Wtedy spółka akcyjna hrabiego Pusłowskiego, postawiła tartaki w Telechanach i Rzeczkach. Wycinane w okolicznych lasach drzewa trakowano na belki i deski, poczym wywożono je wagonikami wąskotorowej kolejki do Iwacewicz, albo Janowa. Stamtąd jechały one pociągami dalej w głąb Polski i za granicę.

Do niszczycielskiego procederu wyrębu poleskich lasów, zaprzęgnięty został także kanał Oginskiego. Drewno wycięte zimą w otaczających go lasach, z wiosną było spławiane nim do tartaku w Telechanach.

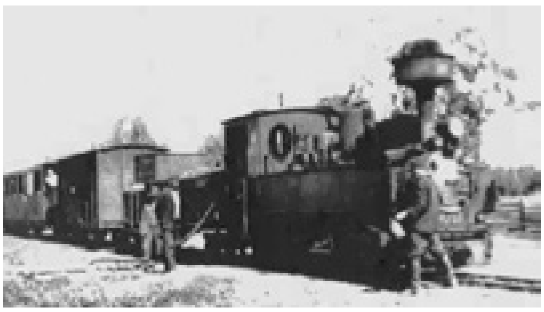
Moje spotkanie z rozwalającym się kolejowym nasypem, przywołuje na myśl następne obrazki z dzieciństwa. Oto od strony Rzeczek, torami wspina się po nasypie w kierunku mostu miniaturowa lokomotywa.

Wlecze za sobą rząd wagoników, wyładowanych pachnącymi sosnową żywicą belkami i deskami. Wąskotorowe lokomotywy, ten nieomal groteskowy twór dziewiętnastowiecznego kolejnictwa, tutejsi ludzie nazywali pieszczotliwie samowarkami. Samowarek wlokąc z trudem pod górę obładowane wagoniki, dychawicznie «pufa» wypluwając kłęby pary. Z wysokiego komina zakończonego wielkim cylindrem z drucianą czaszą, za każdym takim «pufnięciem» wylatują w górę kółka czarnego dymu. Lekki wiatr chwyta w locie te kółka i drąc na strzępy, zamienia w rudy welon ścielący się po nasypie.

Zanim samowarek dowlecze ciężkie wagoniki do mostu, jedzie bardzo wolno. Wykorzystują to miejscowe andrusy. Przechodzą mostem na drugi brzeg kanału, aż do końca nasypu. Kiedy ciuchcia z Rzeczek jadąc pod górę zaczyna zwalniać biegu, czepiają się wagoników, «kaby darom pokataćsa», żeby darmo przejechać się.

Pokonawszy uciążliwy podjazd do mostu, po jego drugiej stronie samowarek doznaje wyraźnej ulgi. Jego ciężkie zipanie parą, teraz zamienia się w coraz szybszą świszczącą sapkę. Za samowarkiem usiłuje nadążyć karawana wagoników dzwoniąc frędzlami łańcuchów, wiążących załadowane drewno.

Jeszcze moment i kawalkada wagoników jadąc z górki, zaczyna coraz bardziej przyśpieszać biegu. Teraz samowarek już nie ciągnie wagonów, lecz to one nabierając prędkości, pchają go do przodu. Ale jest sposób na taką swawolę wagoników. Na malutkiej platformie ostatniego z nich, stoi kolejarz i zapamiętale kręci korbą ręcznego hamulca. Jazgot hamowanych kół cichnie powoli wraz z oddalającym się pociągiem.



Telechańska «Ciuchcia». Fotografia z 1937 raku.

Nad kanałem czas jakiś pachnie jeszcze rozproszonym dymem z samowarka.

Wąskotorową kolejkę, ten niespotykany już dzisiaj środek lokomocji, moje Telechany otrzymały niejako w prezencie od niemieckich wojsk, podczas pierwszej światowej wojny. Niemcy po zawładnięciu w 1915 roku terenu Polesia, wybudowali na nim dla swoich wojskowych i gospodarczych celów całą sieć wąskotorowej kolei, w tym również do Telechan.

Wojska kajzerowskich Niemiec wypierając na wschód armię rosyjską, po roku wojny utknęły na szerokim froncie rozciągniętym od Rygi aż po Tarnopol. Na Polesiu front zatrzymał się na linii pomiędzy Pińskiem i Baranowiczami. Częścią tej linii, stał się kanał Ogińskiego. Na jego wschodnim brzegu, w ziemnych fortyfikacjach zaległy wojska rosyjskie. Natomiast zachodni brzeg kanału, opanowali Niemcy. Telechany, znalazły się pod niemiecką okupacją.

Niemieccy stratedzy przewidując długotrwałą pozycyjną wojnę, rozpoczęli wzdłuż kanału Ogińskiego budowę potężnych umocnień, naszpikowanych betonowymi bunkrami. Do ich budowy niezbędne jednak były takie materiały, jak cement i różne wyroby ze stali. Prócz tego, musiało sprawnie działać zaopatrzenie dla wojska na froncie. Niemieckiego okupanta nęciła również możliwość grabienia nieprzebranego bogactwa Polesia, drewna. Wobec niezwykle małej ilości dróg na Polesiu, okupant stanął przed problemem pokonania trudności transportowych.

Niemieccy stratedzy frontowi, postanowili problem ten rozwiązać poprzez wybudowanie sieci wąskotorowych kolejek. Zapadła decyzja, iż sieć ta obejmie wielki przyfrontowy obszar bezdroży, leżący pomiędzy dwiema kolejowymi liniami, idącymi na wschód od Brześcia nad Bugiem. Jedna z tych linii biegła w kierunku południowo wschodnim do Pińska, a druga w północno wschodnim, do Baranowicz. Dla pruskiego okupanta były to stacje krańcowe, jakie na tych liniach zdołał opanować.

Pomiędzy tymi dwoma kolejowymi szlakami, rozciągała się ogromna »»»

Żelbetowy bunkier, relikt pozycyjnej wojny rosyjsko-niemieckiej nad kanałem Ogińskiego w latach 1915-18. Fotografia wykonana w 2004 roku.



»»» komunikacyjna pustynia, którą w niewyobrażalnie krótkim czasie pokryła rozległa sieć wąskotorowej kolejki. Budowę prowadzono w niesłychanie trudnych warunkach terenowych, klucząc pomiędzy bagnami, przebijając się przez uroczyska i bory.

Sieć wąskotorowej kolei dotarła w paru miejscach aż do samego frontu. Jedna z jej odnóg połączyła stację Iwacewicze z Telechanami, a inna dotarła aż do nowo powstałej wsi Kraśnica, nieopodal Wygonoszczy.

Niemcy za pośrednictwem wąskotorówki dokonali także bezpośredniego połączenia stacji Iwacewicze leżącej na linii kolejowej do Baranowicz, z Janowem Poleskim leżącym na trasie do Pińska. Dzięki takiemu rozwiązaniu, stały się możliwe bezpośrednie przeładunki wojsk i towarów z normalnej kolei na wąskotorową i odwrotnie, na obszarze całego Polesia.

Możliwość tę Niemcy wykorzystali w pełnym zakresie, dostarczając na poleski odcinek frontu zaopatrzenie dla wojska i niezbędne materiały do budowy fortyfikacji. W ciągu trzech lat trwania pozycyjnej wojny, Prusacy wybudowali wzdłuż kanału Ogińskiego ponad pięćdziesiąt żelbetowych bunkrów, o różnorakim przeznaczeniu. Wiele spośród tych niezniszczalnych, wojennych «monstrów» przetrwało do dzisiaj. W pamięci mojej zachowała się ponura sylweta jednego z takich okazów, który w sposób wątpliwy zdobił ogród mojego wuja Stefana.

Po wybudowaniu przez Niemców betonowych fortyfikacji, ich wojska rozlokowane na zachodnim brzegu kanału Ogińskiego stworzyły sobie luksusowe jak na wojnę warunki bytu. Żołnierze ukryci przed pociskami rosyjskiej artylerii w żelbetowych schronach, byli bezpieczni i syci. O to z kolei dbali ich kamraci, grasujący na zapleczu frontu. Na okupowanych ziemiach, Prusacy rabowali na potrzeby swojej armii wszelkie dostępne dobra, siejąc wśród cywilnej ludności głód i zniszczenia.

W tym samym czasie na przeciwległym brzegu kanału Ogińskiego, sołdatów armii carskiej trapiły głód, wszy, choroby i niedostatki w zaopatrzeniu. Na domiar złego, rosyjscy żołnierze kryjący się przed ogniem wroga jedynie w okopach i ziemiankach, byli dla niego łatwym celem. To też rosyjskie straty w ludziach były nieporównywalnie większe, niż w wojskach pruskich.

Dla niemieckiego okupanta, rozwiązanie problemu łatwego dowozu na front wojska i zaopatrzenia nie było jedynym celem. Zgodnie z perfidnym planem cesarskich Niemiec, kolejka miała służyć również do wywozu z Polesia wojennych łupów. Dniem i nocą Niemcy wywozili nią z tej ziemi wszelkie dobra, jakie tylko mogli zrabować. W Iwacewiczach i Janowie, łupy te przeładowane z kolejki na towarowe pociągi, jechały do Niemiec. Najbardziej łakomym kąskiem dla okupanta było oczywiście drewno, które wywożono z bezlitośnie trzebionych lasów. W tym celu, w głębi starej puszczy na zachód od wsi Wygonoszcz, gospodarni kajzerowscy rabusie postawili nowoczesny tartak i elektrownię.

Zatrudnieni tam przymusowi robotnicy, byli praktycznie odcięci od reszty świata. W tych warunkach, w sąsiedztwie tartaku powstała wieś, którą robotnicy nazwali Kraśnica.

Z pomocą doprowadzonej tam kolejowej linii, okupanci wywozili nie tylko przerobione w tartaku drewno, ale również rabowane we wsiach zboże i inne płody rolne.

Prusacy swojego apetytu na płody rolne, nie ograniczyli jedynie do ściągania ich z miejscowej ludności. Na niezalesionych terenach w pobliżu kolejki, w zawrotnym tempie wybudowali wiele prowizorycznych ferm. Rozpoczęli tam masową hodowlę rzeźnych zwierząt i uprawę rolnych płodów. Z zajętych terenów wywożono także ogromne ilości siana, na paszę dla kawaleryjskich koni.

W haniebnym procederze rabunku poleskiej ziemi, wąskotorowa kolejka zaprzężona do służby przez pruskiego okupanta, uczestniczyła przez trzy lata. Uznanie i sympatię ludzi zyskała później, służąc przez następnych lat dwadzieścia mieszkańcom swojej ziemi. Była przez nich uznana za niezbędne ogniwo komunikacji, a wielu traktowało ją nieomal jak maskotkę swojej miejscowości.

W Telechanach, ludzie bardzo chętnie fotografowali się na tle kolejki, a tutejsi kolejarze cieszyli się powszechnym poważaniem. Pamiętam, jak znaną i szanowaną osobą w całym miasteczku był zawiadowca stacji naszej «ciuchci», pan Gołębiowski. Zapamiętałem również trzech panów spośród kolejarzy, którzy nosili przezabawne nazwiska. Ogromny i brzuchaty maszynista nazywał się pan Siekiera, a dwaj inni mizernie wyglądający kolejarze, nosili nazwiska Nędza i Jendza, co pan ów podkreślał przy każdej okazji, że jego nazwisko pisze się przez literę «n».

W mojej pamięci samowarek i jego miniaturowe wagoniki, pozostawiły na zawsze ciepłe wspomnienia. Także i teraz, wspinając się piaszczystą pochyłością na kolejowy niegdyś nasyp, z żalem myślę, że nie zobaczę na nim szyn wypolerowanych kółkami samowarka. Jest jak przewidywałem, po torach kolejowych nie ma żadnego śladu.

HRABIOWIE PUSŁOWSCY A ROZWÓJ PRZEMYSŁU W TELECHANACH

Idę piaszczystym nasypem opadającym łagodnie w stronę ulicy Kościelnej, teraz Lenina. Nasyp od strony południowej, jest porośnięty gęsto macierzanką. Zresztą wszystko wokół, jest zachwaszczone jakimiś nieznanymi dla mnie roślinami. Ale już koniec nasypu, zaraz dojdę do ulicy Kościelnej. Po prawej stronie nieopodal torów znajdował się tartak, a nieco dalej duży parowy młyn. Przy tartaku była niewielka elektrownia, oświetlająca sporą część miasteczka. Tartak



Młyn hrabiego Pusłowskiego w Telechanach.

i elektrownię, napędzała parowa maszyna. Jednym z jej palaczy, był nasz pobliski sąsiad, wąsaty pan Fiedkowicz. Jego córka Tosia, chodziła z moją siostrą do jednej klasy. Pan Fiedkowicz stracił pracę, kiedy w 1943 roku młyn, tartak i elektrownię spalili partyzanci.

Przed wojną, te trzy gospodarcze obiekty będące własnością hrabiego Pusłowskiego, zarządzane były przez jego dzierżawców.

Członkowie rodu Pusłowskich rezydowali w kilku wspaniałych siedzibach, w większości leżących na terenie Polesia. Ich dobra szły w dziesiątki tysięcy hektarów uprawnych pól i lasów. Posiadali niezliczone wręcz tartaki, młyny, gorzelnie i smolarnie. Byli również właścicielami lub współwłaścicielami różnych wysoko dochodowych obiektów na innych obszarach Polski.

Po wybuchu drugiej światowej wojny w 1939 roku, Pusłowscy rezydujący na Polesiu, wyjechali za granicę. Tym sposobem uniknęli sowieckich represji, z których najłagodniejszą prawdopodobnie byłaby wywózka na Sybir.

Po zajęciu Polesia przez Sowietów, wielkie dobra Pusłowskich stały się oczywiście własnością radzieckiego państwa.

Teren, gdzie znajdowały się tartak i młyn Pusłowskiego, wygląda teraz zupełnie inaczej, jak przed ćwierćwieczem. Jest ogrodzony wysokim płotem z desek, a za nim stoją parterowe drewniane budynki. Dobiegają stamtąd odgłosy, jakie wydają maszyny do obróbki drewna. Na placu widać »»»

»»» poukładane pod daszkami stosy desek. A więc teraz jest tutaj wytwórnia jakichś drewnianych wyrobów. No tak, żeby ci tutaj mogli coś produkować, znowu jakiś las musi płacić swoją śmiertelną daninę.

Ten ogrodzony teren z hałasującą wewnątrz fabryczką, oprócz kanału Ogińskiego jest historycznie najważniejszym miejscem w Telechanach. To właśnie temu kawałkowi ziemi, miasteczko zawdzięcza swój rozwój. Początek tej historii sięga osiemnastego wieku, kiedy właścicielem Telechan był Wielki hetman litewski, Michał Kazimierz Ogiński. Realizując największe dzieło swojego życia budowę kanału, na tym właśnie miejscu zlecił postawienie fabryki wyrobów fajansowych. Także wybudowana nieopodal huta szkła, już w 1779 roku rozpoczęła produkować swoje wyroby. Od niej to aż po dzień dzisiejszy, ta cząstka obszaru Telechan nosi nazwę Huty.

Do produkcji przeróżnych wyrobów ze szkła i kryształu, używano miejscowego surowca, piasku wydobywanego nieopodal kanału. Nad kanałem zaś znajdowała się przystań, gdzie na barki ładowano wyroby z obu fabryk, wywożone stąd w głąb Polski i poza jej granice.

Wytwarzane w Telechanach doskonałej jakości naczynia i inne przedmioty, znane były daleko poza granicami kraju. Obie fabryki doskonale prosperowały bez względu na wszystkie polityczne wstrząsy, jakim w międzyczasie ulegała poleska ziemia. Fabrykom wiodło się świetnie nawet po trzecim rozbiorze Polski, kiedy teren Polesia znalazł się pod panowaniem carskiej Rosji. Także śmierć założyciela obu fabryk, hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego w 1800 roku, nie przerwała tej dobrej passy.

Dopiero wojna napoleońska, która wybuchła w 1812 roku, stała się przyczyną ich upadku. Wytwórnia fajansu przestała istnieć jeszcze podczas wojny. Sto kilkadziesiąt lat później, relikty jej produkcji w postaci fajansowych malowanych skorupek, my telechańskie dzieci wygrzebywaliśmy z piasku bawiąc się tam, gdzie kiedyś stała ta fabryka.

Natomiast huta szkła ocalała podczas wojny i po jej zakończeniu liczono, że będzie nadal przynosić zyski. Około 1819 roku nabył ją żydowski finansista Lewin. Niestety, przeliczył się. Popyt na wyroby huty po wojnie okazał się tak mały, że jej nowy właściciel niebawem splajtował i huta przestała istnieć.

W Telechanach, Ogiński pobudował nie tylko obie wspomniane fabryki. Jako wyznawca prawosławia, był również fundatorem pierwszej chrześcijańskiej świątyni. W centrum miasteczka, wybudowana została drewniana cerkiew pod wezwaniem Świętej Trójcy. Jednocześnie podarował nowopowstałej parafii cztery włóki uprawnej ziemi, czyli około sześćdziesięciu siedmiu hektarów. Prawosławne świątynie Ogiński zafundował również miejscowościom Świętej



Hrabia Wojciech Pusłowski.
Kopia olejnego portretu.

Woli i Wygonoszczy, obdarowując także i te parafie ziemskimi dobrami.

Śmierć hetmana Michała Ogińskiego spowodowała, że w jego włościach zaszły istotne zmiany. Jego spadkobiercy nękani finansowymi kłopotami, żądania wierzycieli zaspakajali wyprzedając resztki posiadłości nieboszczyka hetmana. Część włości z należącym do nich miasteczkiem Telechany, sprzedali zarządcy słonimskich dóbr,

Wojciechowi Pusłowskiemu. Był to człowiek niezwykle rzetelny, posiadający nieprzeciętne umiejętności organizacyjne.

Te cechy charakteru Wojciech Pusłowskiego, w kolejnych latach otworzyły mu drogę do kariery politycznej i były napędową siłą ekonomicznego rozwoju nabytych przez niego posiadłości, które w przeciągu niewielu lat stały się jednymi ze znaczniejszych na Polesiu.

Zdobycie tak wysokiej ekonomicznie i politycznie pozycji, niebawem Pusłowskiemu umożliwiło pozyskanie tytułu hrabiego.

Wojciech Pusłowski po objęciu w posiadanie Telechan, prawie niezwłocznie, bo już w roku 1817 zafundował miasteczku katolicką świątynię, Wprawdzie była to tylko drewniana kaplica, ale przy ówczesnej ilości mieszkających tam katolików, w pełni im wystarczająca.

Nabycie przez Pusłowskiego dóbr od spadkobierców hetmana Ogińskiego wraz z Telechanami, dla miasteczka okazało się szczęśliwym zrządzeniem losu. Zarówno on jak i jego spadkobiercy, byli doskonałymi gospodarzami swych posiadłości. Rozwijające się w Telechanach rzemiosło i handel, były wówczas niezbędne dla normalnego funkcjonowania licznych i wciąż rozrastających się majątków rodu Pusłowskich.

W czasach istnienia pańszczyzny, polescy chłopi byli w swoich potrzebach nieomal całkowicie samowystarczalni. Po uwłaszczeniu ich carskim ukazem w 1861 roku, zaczęli coraz częściej korzystać z usług rzemieślników i handlarzy.

W 1880 roku wskutek straszliwego pożaru, w Telechanach spłonęły nieomal wszystkie budynki. Miasteczko odbudowało się po tej klęsce niezwykle szybko, dzięki różnym rodzajom pomocy ze strony właściciela Telechan hrabiego Franciszka Pusłowskiego, wnuka założyciela tego rodu, Wojciecha.

W 1895 roku u wylotu ulicy Kościelnej, na miejscu gdzie przed stu laty stała huta Ogińskiego, Franciszek Pusłowski wybudował nową hutę szkła. Była ona własnością akcyjnej spółki, której największym udziałowcem był sam hrabia. Udziałem tym był aport jego gruntów, na których postawiono hutę. Oprócz hrabiego, akcjonariuszami spółki zostało jeszcze sześć osób, wnoszących kapitał. Wśród nich byli dwaj Żydzi ze Słonima bracia Czernihow, doskonali specjaliści w dziedzinie hutnictwa szkła. Ponadto wspólnicy sprowadzili do Telechan zza granicy jeszcze kilku szklarskich fachowców. Do dnia dzisiejszego obywatelami miasteczka jest rodzina Jakobsonów, potomków specjalisty szklarskiego hutnictwa, rodem ze Skandynawii

Huta posiadała najnowocześniejsze jak na ówczesne czasy wyposażenie i była ciągle modernizowana. Już po czterech latach produkcji, wymieniono w niej piece do wytopu szkła na wówczas najdoskonalsze, acetylenowe. Acetylen pozyskiwano bardzo ekonomicznie, wykorzystując do tego drzewne odpady, z wybudowanego w sąsiedztwie tartaku. W roku 1911, uruchomiono tam również własną elektrownię.

W telechańskiej hucie produkowano szeroki, absolutnie pełny asortyment szklanych wyrobów, poczynając od szyb okiennych, aż po rzeźbione i pozłacane kryształowe puchary, które zdobiły cesarskie stoły Europy. Wyroby huty wysyłane w świat z przystani kanału Ogińskiego, były bardzo atrakcyjnym, poszukiwanym towarem w całej Rosji, Niemczech, Austrii, Francji i Anglii.

Podstawowym surowcem do produkcji szkła, zarówno przed stu laty w hucie Ogińskiego i teraz był złocisty piasek, którego nieprzebrane złoże znajdowało się nieopodal fabryki. Komponenty niezbędne do wytworzenia szklanych cacek, importowano. Między innymi saletrę przywożono aż z Chile, a różne chemikalia i barwniki, z Niemiec i Anglii. Po długiej podróży, trafiały one do huty kanałem Ogińskiego.

W roku uruchomienia huty, zatrudniała ona niespełna stu pięćdziesięciu ludzi, ale już po pięciu latach, pracowało w niej trzysta osób. Po piętnastu latach istnienia fabryki w 1910 roku, pracowało już blisko pięciuset robotników. Rekrutowali się oni spośród mieszkańców Telechan i okolicznych wsi.

Robotnicy będący mieszkańcami wsi, zakwaterowani byli w fabrycznych »»»

»»» barakach, pobudowanych obok huty. Panowały w nich fatalne warunki bytowe. Ludzie mieszkali w ogromnej ciasnocie. Za opał w postaci drzewnych odpadów z tartaku, oraz użytkowanie łaźni, musieli właścicielom fabryki płacić.

Przy wysokich zarobkach ludzi z nadzoru, płace zwykłych robotników były nędzne, choć nie odbiegały od ogólnie przyjętych wówczas robotniczych płac w Rosji. Zarobki kobiet i licznie zatrudnionych młodocianych, równały się połowie tego, co zarabiali mężczyźni. Roboczy dzień trwał dwanaście, nieraz nawet trzynaście godzin, a robotnicy obsługujący niektóre miejsca pracy, rozpoczynali ją nawet o godzinie czwartej rano.

Warunki pracy w hucie były niezwykle ciężkie. W słabo oświetlonych pomieszczeniach bez wentylacji, robotnicy musieli oddychać powietrzem silnie skażonym. Było ono przesycone powstającym przy szlifowaniu szkła pyłem i wyziewami z hutniczych pieców. Nic, więc dziwnego, że wśród robotników szerzyły się liczne choroby, będące wynikiem tak złych warunków pracy i zakwaterowania w barakach. Przy tym zaś, byli oni pozbawieni jakiejkolwiek opieki medycznej.

Jednakże warunki pracy i bytowania stworzone robotnikom huty «Telechany» przez ich chlebodawców, nie różniły się od tych, jakie panowały w innych fabrykach na terenie Rosji. Potwierdzają to zachowane protokoły państwowych kontrolerów wizytujących hutę, że w niej «wsio w pariadkie.»

Nie należy więc dziwić się, że kiedy w 1905 roku w Rosji wybuchła rewolucja, Telechany ogarnęły niepokoje. Rewolucja ta była następstwem wydarzeń w Petersburgu, gdzie kozacy zmasakrowali robotników, domagających się poprawy swojego bytu. Carskie władze próbowały rozładować napięcie wśród ludzi starym, wypróbowanym sposobem. Całe zło panujące w Rosji, należało zrzucić na «krwiopijców» Żydów.

Na polecenie zwierzchniej władzy, policja w Telechanach wykorzystując w tym celu miejscowy motłoch, zorganizowała w «obronie świętej chrześcijańskiej wiary» pogrom Żydów. W pogromie tym niszczono żydowskie sklepy i demolowano mieszkania, a kilkoro Żydów poniosło śmierć. Nie dało to jednak spodziewanego rezultatu. Wśród robotników huty, nadal wrzało.

Narastające niezadowolenie robotników trwało do marca 1907 roku, kiedy to w hucie wybuchł strajk. Do pracy nie stawiła się większość załogi. Przywódcy strajku wnieśli do właścicieli huty siedem postulatów. Domagano się w nich podniesienia płac, zmniejszenia ilości godzin pracy i poprawy warunków bytowych.

Po dwóch tygodniach rozmów, pracodawcy uznali wszystkie żądania robotników. Strajk zakończył się i przez następne dziesięć lat, huta bez żadnych zakłóceń produkowała swoje wspaniałe wyroby.

Niestety, nadszedł rok 1914, wybuchła pierwsza światowa wojna. To był początek końca huty szkła w Telechanach. Praca w niej została zdezorganizowana, gdyż większość zatrudnionych tam mężczyzn wcielono do wojska. Niedługo po wybuchu wojny, Telechany znalazły się w zasięgu frontu i huta szkła po dwudziestu latach pracy, przestała istnieć.

Wojna pomiędzy Rosją i Niemcami tocząc się przez trzy lata na poleskiej ziemi, zadała jej straszliwe rany. Tysiące jej mieszkańców poniosło śmierć, spalone zostały wsie i miasteczka, panował głód, rozpleniły się choroby. Ziemia nieuprawiana na terenach objętych frontem jałowiała, a lasy zostały straszliwie przetrzebione.

Pozycyjna wojna na linii kanału Ogińskiego, dokonała również i w Telechanach okrutnych spustoszeń. Przed zbliżającym się frontem, większość ludności miasteczka uciekła w głąb Rosji, cierpiąc tam wszelkie niedostatki. Podczas trzyletnich działań wojennych, niemal doszczętnie spłonęła drewniana zabudowa miasteczka

Po zakończeniu wojny i odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku, Telechany szybko dźwignęły się z wojennych zniszczeń. Nowe domy wyrastały jak grzyby po ciepłym deszczu. Należy tutaj wspomnieć, że telechańscy Żydzi otrzymali wówczas dużą finansową pomoc od żydowskich organizacji

w Ameryce. Uzyskanie tych środków, bardzo przyśpieszyło odbudowę miasteczka.

Lata mojej rozłąki z Telechanami były wystarczająco długie, abym zdążył ckliwą tęsknotę za nimi, wypełnić szperaniem po różnorakich źródłach, dotyczących historii mojego miasteczka. Stąd wiem, jakim skokiem w jego rozwoju stała się odbudowa ze zgliszcz po pierwszej światowej wojnie. Wprawdzie ta wojna przyniosła Telechanom «wiano» w postaci wąskotorowej kolejki, ale jednocześnie kosztem obrócenia ich w zgliszcza, utratą huty szkła i rujnacją kanału Ogińskiego.

Przed wybuchem pierwszej światowej wojny, Telechany znajdujące się pod zaborem carskiej Rosji były zapyziałą mieściną, której statusu nie poprawiało nawet istnienie huty. Przy istniejących tu pięciu świątyniach trzech wyznań, jedynie katolicka nie miała swojego kapłana. A tak w ogóle, to poza powiatowym miastem Pińskiem, na całym podległym mu razem z Telechanami obszarze, tylko w dwóch miejscowościach były katolickie kościoły z obsadą księży. W leżącym nieopodal Telechan Łohiszynie z księdzem Szackim i w odległym Lubieszowie, z księdzem Kozłowskim.

Rzemiosło i handel obsługujące potrzeby rodzimego miasteczka, oraz okoliczne majątki i wsie po uwłaszczeniu chłopów w 1861 roku, były zdominowane przez ludność żydowską. Tą rzemieślniczo-handlarską gildią zarządzał w Telechanach bogaty kupiec Szloma Perelsztain, dziad mojego dziecięcego przyjaciela Chaimka, którego w 1941 roku Niemcy zamordowali podczas holokaustu.

Przez lata panowania carskiej Rosji aż do jej upadku, miasteczko nie miało państwowej szkoły. Najbliższa znajdowała się o dwanaście kilometrów od niego, w Świętej Woli. Telechany musiały zadowolić się małą prywatną szkółką, ufundowaną przez miejscowych bogatych obywateli.

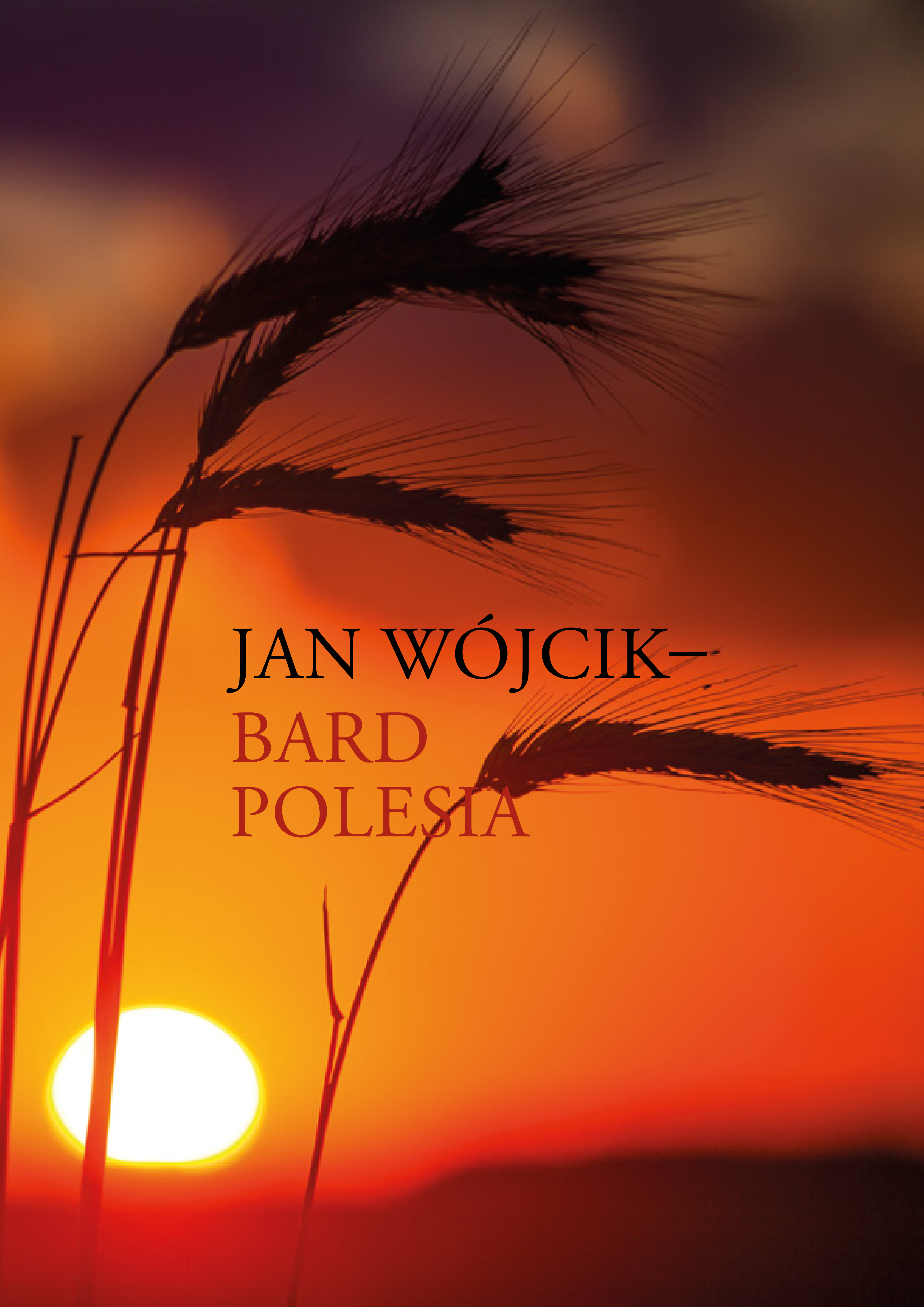
Przy okazji warto tutaj nie pominąć ciekawostki, cuchnącej dyskryminacją. Szkółka wielkością swoją obliczona była na domniemaną ilość objętych nauką dzieci, zarówno chrześcijańskich jak i żydowskich. Miejscowi notable wraz z wójtem Michałem Poźniakiem i pisarzem gminnym Piotrem Łapiczem, narzuciły fundatorom budowy szkoły następujące kryterium. Kwota budowy jednego miejsca nauki dla dziecka żydowskiego, była dwukrotnie wyższa od tej, jaką fundatorzy szkoły płacili za dziecko chrześcijańskie. Cóż, w carskiej Rosji antysemityzm był zupełnie legalny i wręcz hołubiony przez samego «pomazańca bożego, cara świętej Rusi».

Znacznie lepiej jak z edukacją, było z pomocą medyczną dla miasteczka i jego rozległej okolicy. Wprawdzie Poleszucy w zasadzie z niej nie korzystali, jako że była dla nich zbyt droga, ale mimo to, doktor Aleksy Puchnarewicz nędzy prawdopodobnie nie cierpiał. Zapewne nie cierpiał jej też właściciel apteki Lejba Wajner, z prowadzącym ją Dymitrem Sagałowiczem i jego pomocnikiem Freimanem. Najbliższe szpitale z prawdziwego zdarzenia, ale oddzielne dla chrześcijan i Żydów, znajdowały się dopiero w odległym o pięćdziesiąt kilometrów powiatowym Pińsku.

Telechany zdegradowane losowo po okresie bujnego rozkwitu za czasów Ogińskiego, mogły jednak poszczycić się posiadaniem nowoczesnej naówczas poczty, której naczelnikiem był powszechnie znany i szanowany «uważajemyj gospodin» Wasilij Grudziński. Dzięki jego zabiegom, ta zagubiona wśród poleskich błot «pipidówka», już wtedy posiadała telegraf i własną abonencką sieć telefonów! Wprawdzie obejmowała ona na obszarze całego miasteczka razem z hutą i majątkiem hrabiego zaledwie kilka aparatów, ale była!

Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, ogromna ilość ludności wyemigrowała z terenu carskiej Rosji do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ludzie wyjeżdżali z powodu biedy panującej w Rosji, a Żydzi dodatkowo jeszcze ze względu na panoszącą się tam dyskryminację.

Na tym pędzie biedoty do «lepszego» świata, korzystali przeważnie obrotni Żydzi, zakładając biura wysyłające emigrantów do Stanów Zjednoczonych. Firmy te powstawały jak grzyby po deszczu. Takie biuro Chaima Najmana, znajdowało się nieopodal Telechan w Łohiszynie.



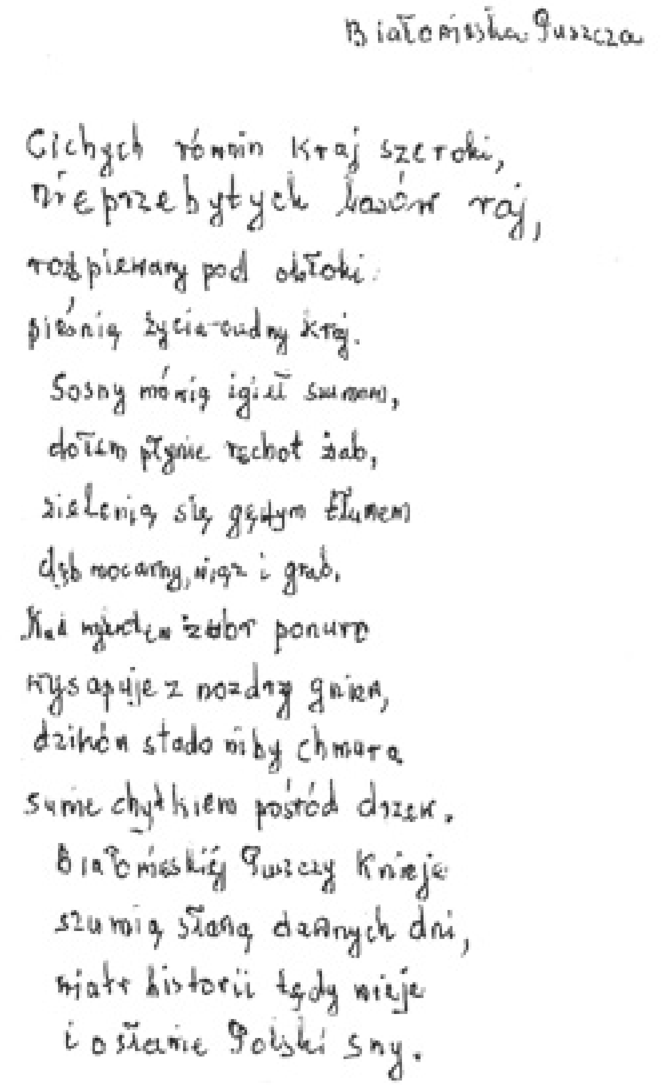
JAN WÓJCIK–
BARD POLESIA

JAN WÓJCIK

– poeta i bard Polesia, znany i ceniony polonijny działacz społeczny, pisarz, publicysta, weteran i wielki patriota polski.

Urodził się w roku 1913 Rostowie nad Donem (Rosja), gdzie jego ojciec studiował wówczas na miejscowym uniwersytecie. Do Polski powrócił wraz z rodzicami w roku 1921. Swoje dzieciństwo i młodość spędził na Polesiu – w Prużanie, Rewiatyczach, Szereszewie, Berezie, a miłość do ziemi polskiej stała się inspiracją do jego późniejszej twórczości. Studiował prawo, a następnie ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Brał udział w Kampanii Wrześniowej 1939 roku, wkrótce dostał się do niemieckiej niewoli i przez kilka lat był więziony w hitlerowskich obozach jenieckich. Po wyzwoleniu najpierw rozpoczął pracę dla British Allied Forces, a następnie wyemigrował do Brazylii w roku 1949. Przebywając tam, prowadził w Porto Alegre program radiowy promujący polską kulturę i historię, a ponadto pisał artykuły do miejscowej prasy polonijnej. Co więcej, szukał tam śladów swoich rodaków i uważnie śledził losy polskich emigrantów. Owocem tych poszukiwań są wspomnienia «Balcerowi następcy», które ukazały się drukiem w 1975 roku.

W roku 1961 wraz z rodziną wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, osiedlając się w New Britain. Podjął pracę w New Britain Machinę Co. Wraz z żoną Danutą miał syna – Marka i córkę – Elizabeth. Po śmierci żony zamieszkał wraz z rodziną córki w pobliskim Bristol. Był członkiem parafii Holy Cross w New Britain, aktywnie działał w licznych organizacjach polonijnych, a przede wszystkim, w placówce weterańskiej SWAP numer 111 im. Gen. Józefa Hallera w New Britain, był członkiem Chóru «Polonia» im. U. Paderewskiego, Kongresu Polonii Amerykańskiej, oddział Connecticut, Koła Przyjaciół Harcerstwa, Solidarity International, itd. Wraz z Mieczysławem Kierkło napisał pierwszą książkę opisującą dzieje miejscowej Polonii, zatytułowaną «Polonia



w Connecticut». Pomagał także w prowadzeniu polonijnych audycji radiowych KPA, CT oraz «Bóg i Ojczyzna».

Był autorem znacznej ilości komentarzy politycznych, artykułów i opra-cowań na temat kultury i historii polskiej i polonijnej publikowanych w wielu czasopismach polonijnych na terenie USA. W roku 2005 ukazały się drukiem jego wspomnienia zatytułowane «Nad pięcioma rzekami», obejmujące okres jego życia w Rosji i w Polsce.

W roku 1995 Jan Wójcik został udekorowany przez demokratyczne władze Rzeczpospolitej Polskiej Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Został pochowany z honorami wojskowymi na cmentarzu Sacred Heart Cemetery przy Burritt Street w New Britain w czwartek 22 stycznia br. Zmarł 18 stycznia 2009 roku.



BIAŁOWIESKA PUSZCZA

Jakby ze snu pamiętany, przywarł
do mnie aż do dziś, obraz z
pięknych barw utkany, z sosen
igły, z dębu liść.

To te barwy urodziły
Białowieskiej Puszczy czar,
zauroczny, sercu miły hojny od
natury dar.

Cichych równin kraj szeroki,
nieprzebytych lasów raj,
rozśpiewany pod obłoki pieśnią
życia cudny kraj.

Zawsze ze mną pozostanie,
zabrałem go z sobą w świat.
Dla radości, na przetrwanie i
tak goszczę go od lat.

Sosny mówią igieł szumem, dołem
płynie rechot żab, zielenią się
gęstym tłumem dąb mocarny, wiąz
i grab.

Nad wykrotem żubr ponuro
wysapuje z nozdrzy gniew,
dzików stado, niby chmura biegnie
chyłkiem pośród drzew.

Niedźwiedź bardzo siebie ceni, nie
pokazuje się miś.
Także szlachta z leśnych cieni,
koty lasu żbik i ryś.

Białowieskiej puszczy knieje
szumią sławą dawnych dni,
wiatr historii tędy wieje i o
chwale Polski sny.

JAK DOBRZE...

Jak dobrze móc ukochać piękno własnej ziemi
i ziemię tę na zawsze w sercu nosić.
Ziemie schodzoną niegdyś stopami własnemi
w upałach lata i chłodzącej rosie.

Jak dobrze nie zapomnieć jej przez długie lata,
choćbyś przemierzył świat w jego połowie.
Tam skowronkowa pieśń w rodzinny czar się wplata
i jasne myśli snują się po głowie.

Tam swoją własną mową mówią wszyscy
ludzie i nawet dzwonu dźwięk to głos
rodzinny, a rankiem łacniej do radości się
obudzić, bo ranek zawsze swój, nigdy nie inny.

Szkoda, ja nigdy już jaskółki nie zobaczę, tej
uroczej tanecznicy powietrznej.
Kto inny umie się pocieszyć, gdy zapłacze.
Ja – nie. Tylko wspominam ją serdecznie.

Tam wiatr szemranie trzciny pozwala usłyszeć,
to tam, po echu wody, piosnka spływa, i nocy
ptak krzykiem rozbija nocną ciszę, lecz noc
cierpliwie trwa, głucha, milkliwa.

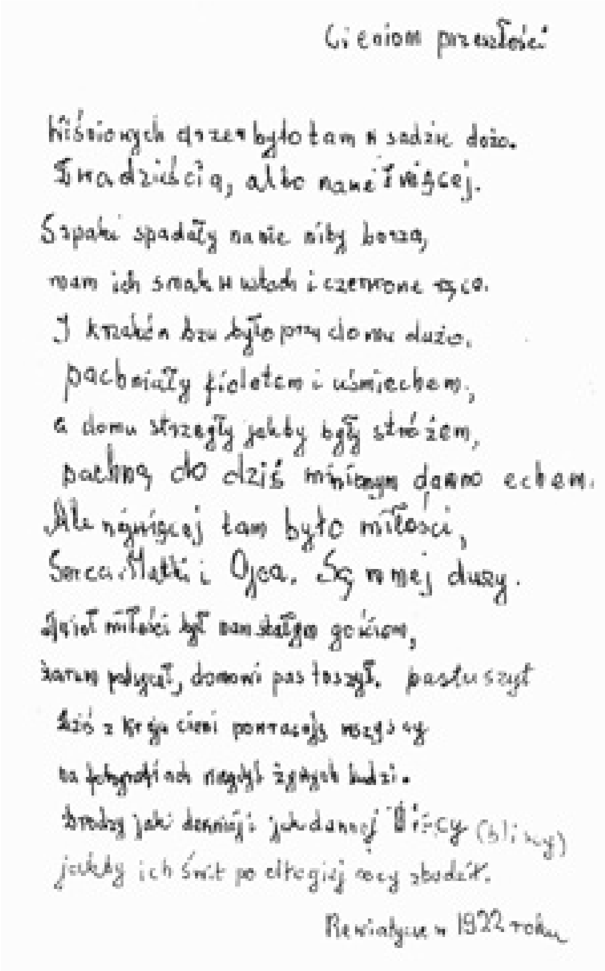
Dziś po mej dawnej drodze inni chodzą ludzie, nic
się tam nie zmieniło, nie umarło, latem po piasku
chodzą, a zimą po grudzie i tylko słowo «kiedyś» się
zatarło.

Więc to, co we mnie drzemie, bywa moje tylko,
zamknąć trzeba na klucz, to co kochamy.
Że ja tam lata żyłem, dziś stało się chwilką,
zamknięte teraz już są tamte bramy.

Lecz jak dobrze, gdy czasem smętnie i tęskliwie
Chopin o zmierzchu błądzi po klawiszach, aż krew
mi w żyłach krąży szybciej i gorliwiej, a dziś w
ciszy nocnej w sercu także cisza.







CIENIOM PRZESZŁOŚCI

Wiśniowych drzew było tam w sadzie dużo.
Dwadzieścia, albo i nawet więcej.
Szpaki spadły na nie niby burza, mam ich
smak w ustach i czerwone ręce.

I krzaków bzu było przy domu
dużo. Pachniały fioletem i
uśmiechem, a domu strzegły, jakby
były stróżem. Pachną do dziś
minionym echem.

Ale najwięcej było tam miłości, serca matki i
ojca. Mam je w duszy.
Anioł miłości był nam stałym gościem, żarem
podsycał, domowi pastuszył.

Dziś z krainy cieni powracają wszyscy, na
fotografiach niegdyś żywych ludzi.
Drodzy jak dawniej i jak dawniej bliscy,
jakby ich świat po długiej nocy zbudził.



DO SREBRNEGO GLOBU

Czekałem miesiącu na ciebie aż wrócisz tu
w pełni po nowiu,
Mam prośbę, wędrowcze po niebie, a co
chcę prosić – opowiem.

Gdy znajdziesz w ciemnościach tę ziemię com
musiał opuścić przed laty, a ona, jak dawniej
tam drzemie, to zajrzyj do której bądź chaty.

I pozdrów śpiącego człowieka,
Polaka czy «tutejszego» i powiedz, że ja tu
wciąż czekam na powrót w mych snach, tam
do niego.

I spójrz na wiatraki na Chwatce, na kościół w
Prażanie, znów nowy i mrugnij do dzieci, w
gromadce idących co ranka do szkoły.

A w Sielcu alei lipowej podszepnij, że o niej
pamiętam, i cieniom Rewiatycz opowiedz że
wierzę, iż w baśń są zaklęte.

Szereszów też pozdrów ode mnie,
Berezę i Przedzielsk, Rudniki, bo choć marzyć
o nich daremnie, to wizja ich we mnie nie
zniknie.

I spójrz, czy tam, gdzie nie przebłyska ślad
mej stopy małej, chłopięcej na łące lub
grząskim bagnisku.
To wszystko. Nie proszę o więcej.

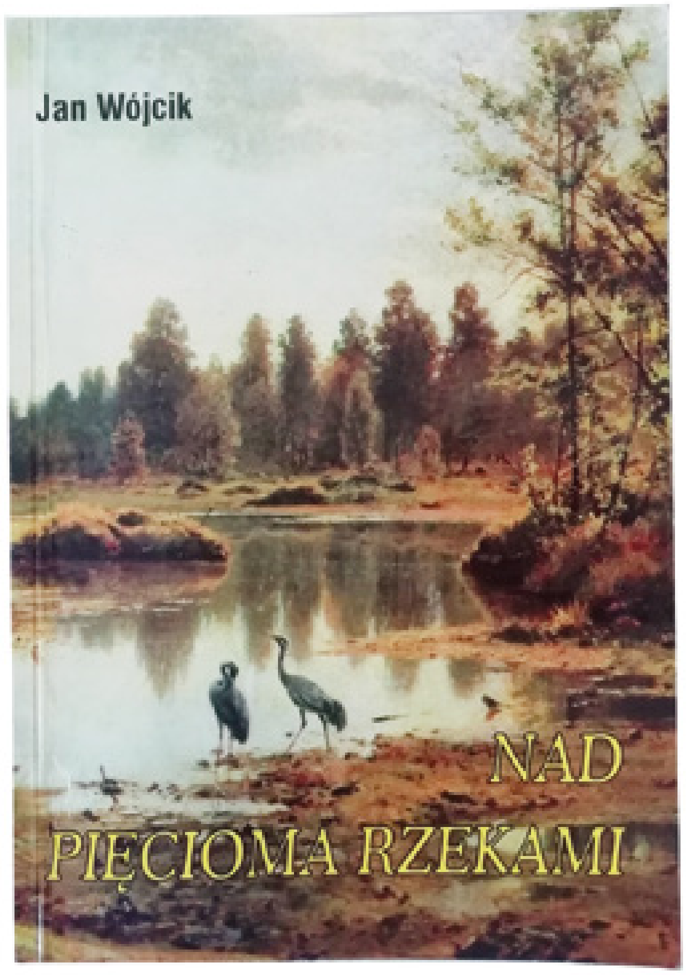


Jan Wójcik był także autorem fascynującej autobiografii «Nad pięcioma rzekami», książki, która ukazała się drukiem w USA New Britain,Connecticut 1985-1991 pod redakcją ks.dr Wiesława Haczkiewicza Dodruk tej wspaniałej książki wykonała w roku 2009 Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im.T.Goniewicza w Lublinie.

Książka składa się z 3 części. W pierwszej, zatytułowanej «Don – rzeka pierwsza», autor wraca do czasów dzieciństwa, miejsc, osób i pierwszych przygód, które na trwałe wpisały się w jego pamięć.

«Muchawiec – rzeka druga» to powrót do okresu międzywojennego, jakże ważnego dla pokolenia, które cieszyło się darem tak długo oczekiwanej wolności, wkrótce jednak utraconej. Lata dorastania i nauki.

Ostatnie miesiące II Rzeczypospolitej – to wspomnienie najbardziej bolesnego i dramatycznego okresu – czasu II wojny światowej. Hołd złożony tym, którzy wykazali się odwagą i bohaterstwem, dali świadectwo ludzkiej przyzwoitości – stali się świadkami historii



TAKIE SOBIE WSPOMINKI

Nie byłem na Polesiu od 1939 roku, podobnie jak my wszyscy Poleszucy, których przygarnął świat, gdy im odebrano ojczyznę. Różne mi później rzeczy mówiono o Poleszukach z lat wojennych i powojennych. Mówiono, że bywali dla Polaków nieprzychylni i groźni, że «poczerwienieli». Ale ja wierzę, że każda wojna i każdy kataklizm taki jak tamten we Wrześniu, wyzwala najgorsze instynkty u najgorszych jednostek. A takie jednostki bywają wszędzie, nie tylko na Polesiu. Dlatego, gdy myślę o Poleszukach, w mojej pamięci i w moim sercu nic się w stosunku do nich nie zmieniło. W masie swojej pozostali oni na pewno takimi samymi jakich znaliśmy przed laty.

Ich pamięci pragnę poświęcić kilka wspomnieniowych strzępków z mojej młodości, z czasu kiedy ich ojczyzna była i moją ojczyzną i kiedy opar poleskich bagien odurzył mi serce tak samo, jak odurzone były serca ich, «tamtejszych» ludzi Polesia.

Latem 1922 roku Ojciec mój rozpoczął pracę sekretarza gminy w Rewiatyczach, w prużańskim powiecie na Polesiu. Był to czas, gdy większość mieszkańców gminy powróciła już

i dalekich peregrynacji, z ucieczki w świat od pierwszej wojny światowej. Pracy w biurze i w terenie było tak dużo, że niewiele widywaliśmy Ojca w domu.

Jak wszędzie na kresach tak i w Rewiatyczach urząd i mieszkanie sekretarza gminy mieściły się w tym samym budynku. Interesanci czekali zawsze przed biurem, zanim ich «baby» nie powróciły z kuchni, dokąd szły z koszyczkami niosąc dary «pani pisarzowej». Inaczej ich nigdy – jak świat światem a car carem – nie załatwiano.

Dlatego przez pierwsze miesiące ludzie nie mogli się połapać, co się dzieje i za co się na nich obrażono, że «pysarowa» odsyłała kobiety do biura nie przyjmując prezentów. Naród wyraźnie się niepokoił i czynił najczarniejsze horoskopy na przyszłość: – Źle. Pany coś knują. Prezentów «ne berut»

Później przywykli.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia tego 1922 roku, wracaliśmy z pobliskich Siechniewicz z kościoła. Sankami.

Śniegu było dużo, dzień i stal piękny i bez wietrzny, iskrzyło się wszystko brylantami w słońcu i mrozic, jak zwyczajnie w Polsce zimową porą. Gdyśmy i mijali cerkiew rewiatycką, z plebanii właśnie wyszedł pop, popularnie zwany przez wszystkich «ojcem Leontijem» i zwolna szedł w kierunku gminy.

Został u nas na obie – dzie. Śmiał się hałaśliwie, opowiadał swoim zwyczajem byłego wojskowego anegdoty i dykteryjki.

Na zmianę po polsku i po rosyjsku. Na zakończenie zapowiedział swą śpiewną, kresową polszczyzną:

– U nas prawosławnych – państwo wiecie. Święta dopiero za dwa tygodnie, po starym stylu. Ale ja jutro dla państwa będę «prawit abiedniu». Tak u mnie cały «prichod» (parafia) zadecydował. A wieczorem dzisiaj, nie przestraszcie się: przyjdzie delegacja do cerkwi zaprosić.

Przyszła rzeczywiście. Składała się z sześćdziesięciu osób, bo tyle należało do cerkiewnego chóru. W imieniu wszystkich przemawiał najstarszy wiekiem Kalenik, rosły i siwy chłop z potężnymi wąsami.

Co mówił, dziś już nie pamiętam. Ale później, daleko za północ, chór śpiewał, a był to śpiew tak piękny, że mi do dziś pozostał w pamięci. Stara Fejga Kuplińska pół sklepu musiała przynieść, aby goście na sucho nie śpiewali, a ja siedziałem cicho

w kącie i dreszcz mi po skórze chodził, bo świat był piękny, a najpiękniejszy ten chór potężny, który wypełniał dom i huczał, płakał nad niedolą Pana Jezusową, i śmiał się z radości, że ludziom «Boh ditia pasłau».

Od tego dnia, kiedy tylko mogłem się wymknąć z domu, szedłem na wieś między ludzi. Najczęściej odwiedzałem »»»

»»» chatę Kalenika i wkrótce staliśmy się wielkimi przyjaciółmi. Jego opowiadaniom nigdy nie było końca, a najchętniej mówił o swojej umiłowanej ziemi, o jej zwyczajach i prawach, o wielkich drzemiących wodach i bagniskach, o rybach, wiunach i ptakach, o ludziach, o dobrotliwej ciszy, która wychowała pokolenia.

Tak w kresowej wiosce wyhodowała się i zakwitła moja miłość do Polesia i jego mieszkańców. A najbardziej w Kalenikowej chacie, gdzie chłodnymi wieczorami w lecie, albo w trzaskający zimowy mróz, zbierali się ludzie na pogaduszki, a dziewczęta i «baby» przędły kądziel trajlując o swoich sprawach.

U Kaleników był mój prawie drugi dom. Nazywali mnie tam czemuś «Janik» i lubili. I nieraz woźny gminny, Antoni, musiał mnie stamtąd za kołnierz wyciągać, bo bym w ogóle do domu nie wracał.

Później Ojca mego przeniesiono na inne stanowisko, a ja wyjechałem do gimnazjum. Opuściliśmy Rewiatycze.

Jakoś w 1938 roku odwiedziłem stare kąty. Wieś już się była wtedy przeniosła na rozparcelowane kolonie, tylko niektórzy chłopi zostali na miejscu ze swymi zagrodami. Mój dawny przyjaciel Kalenik należał do tych ostatnich.

Poszedłem odwiedzić starego. Posunął się ogromnie, trzęsła mu się głowa, stracił zęby. Zwyczajnie, wiekowy człowiek.

Ucieszył się bardzo, rozgadał. Jedliśmy pieczony na liściach kapusty razowiec krajany z wielkiego bochna leżącego pod lnianą serwetą na stole, zagryzali kiełbasą. Kalenikowa przyniosła wódkę – przepijaliśmy. Dawne lata krążyły nad nami i dawne wspominki, a ciemne liście bzu jak niegdyś zaglądały przez okno do chaty. Kalenik opowiadał kto we wsi żyw, kto umarł, kto wyjechał, a komu się, «kłunia» (stodoła) latoś spaliła.

– No – powiedział wreszcie staruszek, gdy zabierałem się do odejścia – dziękuję, że nie zapomniał. I pewnie już więcej nie zobaczym się. Stary ja «wielmi», niedługo mnie na święcie żyć zostało się.

– A ot jedno mnie panók wam trzeba powiedzieć. Wy Janik między nami rośli, wy nas znacie. Ale może jednego i nie wiecie panoczku, bo «naszy ludy» do rozmowy nie bardzo. Ono to, widzicie, jest tak (dawnym zwyczajem, jak zwykle kiedy miał powiedzieć coś ważnego, Kalenik przerwał i długo patrzył w małe okienko izby):

– My, Janik, ludzie tutejsze. Ni Polaki my, ni Ruskie a prosto tutejsze. Tak i wiedzcie: Poleszuki. Ale ono choć i ciężko nam, jak wiadomo «mużykam», my za dwadzieścia lat do Polaków przywykli i do Ruskich my nie chcemy. Zapyta ciebie ktoś Janik – Kalenik zwracał się do mnie chwilami przez pan, chwilami przez ty, po dawnemu – tak i powiedz.

– Który tam jeden albo drugi «głupy», ten za Ruskimi ciągnie. A mądrzejszy trafi się – on za Polakami. I tak ja stary myślę, że kiedyś wnuki nasze chybaż Polakami zostaną się. A tym prędzej oni Polakami zostaną się, czym lepiej nam będzie, wiejskim ludziom. Ot co, panoczku.

Zamyślił się znowu, długie wąsy nakrył spracowaną dłonią, mówił z wolna:

– Tak ono i jest. My, Poleszuki, naród niekiepski. Kto z nami dobre, temu i my dobre. Tak ono i jest... A za drugich dwadzieścia lat może i Polakami staniem. Jaż «baczu». Prawnuki moje w polskiej szkole, wnuki kapralami z wojska powracali. Oho choć i bieda w Polsce, ale Ruskimi my już «peuno» nie będziem, Janik. Tak i powiedz – kiedy zapytają...

Zabrałam ze sobą w świat słowa starego – jak testament. Bo nie tylko Kalenik tak mawiał, słyszałem to wiele razy, więc do dziś wierzę w słowa leciwego kresowiaka, syna ziemi, której nic potrafię zapomnieć. Oni Ruskimi nie zostaną.

W kilka lat później pisano mi z Polski:

«Mówią teraz Poleszucy, że ich Polacy przez dwadzieścia lat nie dali rady «opolaczyć», a bolszewicy «opolaczyli» w ciągu pół roku.

Biedny, stary Kalenik. Czym sobie zasłużył on i inni, że ich w tak tragiczny sposób polonizowano? Dziś, z daleka od Polesia i od



mojego kraju, w każdy wieczór wigilijny myśląc o bliskich, przypominam sobie i ich, Poleszuków. I sądzę, że teraz, a przynajmniej do niedawna, gdy maniacko i chorobliwie mówiło się i pisało w kraju o potwornościach «sanacyjnej Polski», przypisując jej i to zło, które spowodowała, i to którego nie spowodowała – obywatele «Białoruskiej Socjalistycznej Sowieckiej Republiki» chyba mniej zarzucają Polsce, w której żyli, niż oficjalna polska prasa i propaganda.

Pewnie to i lepiej, że stary Kalenik już w grobie. Przez grubą kołdrę śniegową nie dochodzi go gwar nowych porządków i nowej przyszłości.

Co roku w noc wigilijną posyłam Polesiu i Poleszukom moje pozdrowienia. Kładę ich wiązankę na grób przyjaciela Kalenika, na grób Ojca, na grób milczenia o Polesiu. Bo dziś w Polsce o Polesiu się nie mówi. Nie wypada, a młodzież już go i nie pamięta. Poleszukom też pewnie nie wypada mówić o Polsce. Nie wiem zresztą, co myślą o tych czasach, gdy żyliśmy razem, w jednej rodzinie. Nie wiem, jak widzą swoją przyszłość i jacy są. Ale w ciągu czterdziestu lat, które mnie od nich oddzieliły, na pewno nie zdążono im odebrać Boga, więc po daw–nemu zbierają się pewnie w dniu wigilijnym przy swojej tradycyjnej wieczerzy. I na ten czas posyłam im moje życzenia:

Niechaj dobry Bóg, który się rodzi każdego roku, jak najrychlej ześle czas, kiedy obok prawdziwie wolnych narodów Słowiańszczyzny, wolnych od sowieckiej przemocy i sowieckiej sprawiedliwości, znajdzie »»»

»»» się naród Białorusinów – Poleszuków, którzy sami swoim losem pokierują.

Stary Kalenik mądrym był człowiekiem, a takich jak on było tysiące.

«...ale Ruskimi – jak mawiał – my już «peuno» nie bę – dziern. Tak i powiedz, kiedy zapytają.. .»

Tak mówię, przyjacielu. Zawsze tak mówię. I zawsze myślę, że ze złych czasów w jakich żyjemy, zrodzi się kiedyś wolna i przychylna sobie, rozumiejąca się wzajem Słowiańszczyzna.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ

Później Rewiatycze zdradziłem i to bez cienie własnej winy, a za to z wielkim żalem. Bo kiedy byłem w ciągu roku szkolnego w Prużanie, Ojca przeniesiono do Szereszowa. Dopiero o wiele później zorientowałem się, że był on «zatkaj dziurą» wszelkich samorządowych kłopotów w powiecie, gdzie tylko bowiem poprzednicy zabagnili stosunki i biuro, tam słano – jak to określał inspektor samorządowy Piotr Jancza – «najcięższą armatę» w osobie mojego Ojca. Jego poprzednikiem w rewiatyckim urzędzie gminnym – a nazwę takich urzędów zmieniono później na zarządy gmin – był od chwili powstanie niepodległej Polski jakiś niefachowy, czy nie na poziomie człowiek, bo skąd wtedy miano brać ludzi odpowiednich. Robił pewnie co mógł i jak umiał, ale dopiero «nowyj pysar», jak mawiali Poleszucy, wszystko w rewiatyc – kiej gminie pozszywał i pozapinał na guziki. Teraz kazano mu to samo zrobić w Szereszowie.

Wszystko tam, w tym miasteczku wyglądało inaczej niż w Rewiatyczach, bardziej zwyczajnie i dlatego w moich oczach nie było to już to samo. W porównaniu z tuniki wioską i odludziem, Szereszów wyglądał prawic jak miasto. Kościół i sklepy na miejscu, szkoła siedmioklasowa więc największa z niższych jakie w Polsce wtedy istniały, a jedną z nauczycielek była Hanka Janicka, późniejsza żona mojego dawnego nauczyciela Janka Goławskiego. Bardzo się wkrótce zaprzyjaźniły z moją Mamą i często u nas przesiadywała. Była amatorką-malarką, przysłała mi wiele lat po wojnie bardzo przeze mnie łubiany obraz–akwarelę, łódkę na brzegu morza.

Prawie wszystkie uliczki w miasteczku były brukowane, asfaltu chyba jeszcze wtedy nie było, albo mało był znany, a w każdym razie powszechnie stosowany, do Prużany było tylko 18 kilometrów szosą i chodził autobus, ale mnie to wszystko nie przekonywało. Rewiatycze jak przewodnia gwiazda błyszczały we wspomnieniach, w domu było tak samo wspaniale jak zawsze, czułem się jednak zdegradowany. Bo nawet porządnego bagna Szereszów nie posiadał; gdzie by można pobrodzić podpatrując ptactwo i zwierzaki, a ładna była właściwie tylko lipowa aleja prowadząca do prawosławnej plebanii i do szkoły. Nazywano ją aleją królowej Bony, która miała kiedyś rzekomo na jej końcu pobudować jakieś zabudowania, z których «opowieści ludowe» zrobiły zamek królowej Bony. Tylko że nikt o nim nic nie wiedział, ani nie pamiętano, aby ktokolwiek, jak to zwyczajnie bywa po wsiach czy miasteczkach, powtarzał o nim jakieś dawne klechdy.

Zamiast jednej żydowskiej sklepikarki, jaką w Rewiatyczach była stara Kuplińska z córkami, które nie miały za kogo powychodzić i więdły w panieństwie, tutaj pełno było żydówskich sklepików, a w piątki stary «szabas», chodząc po ulicach, wołał coś co odbieraliśmy jako «myszuuuł..»,a co jak się oka zało miało oznaczać «..n die Schul», do szkoły. Przypominano w ten sposób wiernym, że czas do bóżnicy. I jeszcze jedna ciekawostka była w Szereszowie, kilkunastu Cyganów którzy przed laty odłączyli od swoich, pożenili się z Szereszowiankami i zostali do końca życia rolnikami. Zwrócono mi uwagę i sam to później zaobserwowałem, że tych ludzi nikt i nigdy nie widział uśmiechniętych. Czyżby zżerała ich nieprzemijająca, atawistyczna tęsknota? Ale rolnikami byli dobrymi.

Niewiele przeżyć wiąże mi się z tym pierwszym moim pobytem w Szereszowie, do którego później wróciłem jako już

dorosły człowiek. Ciekawe były tylko zebrania miejscowych i okolicznych, poznanych przez Rodziców ludzi, którzy wkrótce stali się częstymi u nas bywalcami. Sądzę, że i Mama i Ojciec podświadomie «odbijali» sobie rewiatyckie odludzie. Ci nasi goście musieli się u nas dobrze czuć i bawić, gdyż rozmowy były zawsze ożywione, Mamę uznano za znakomitą gospodynię, bo też nią była, a jej nalewki stały się w Szereszowie słynne. Ojciec w czasie takich towarzyskich spotkań nie bywał zbyt rozmowny, ale dobrze wszyscy znaliśmy jego specjalny rodzaj uśmiechu, który mówił, że on się czuje doskonale. Ja zwykle przysłuchiwałem się rozmowom, za to Hania, a miała już z pięć lat, rozmawiała bez przerwy, jeżeli nie z kimś, to sama ze sobą.

Kiedy raz Mama podawała komuś nad głowami siedzących szklankę gorącej herbaty, a ktoś inny podbił jej niechcący rękę, gorący płyn pociekł właścicielowi sąsiedniego majątku za kołnierz. Poszkodowany wstał bez słowa od stołu i wyszedł na korytarz, bo go może i poparzyło, a kiedy wrócił do jadalni i na chwilę zrobiło się cicho, Hania z troską w głosie głośno zapytała:

– Czy już pan wywietrzał?

Po kolacjach często śpiewano i to ładnie, na głosy, i kiedyś zauważyłem, że na ulicy przed naszym domem zgromadziła się spora gromadka ludzi, słuchających zaimprowizowanego koncertu. Zdarzało się to potem często, ilekroć u nas takie słuchowiska się odbywały, a i ja sam bardzo je lubiłem. A drugą przyjemną sprawą, która mi się w tym nielubianym na ogół Szereszowie kojarzy z tamtym czasem, była bliskość Prużany i autobus, co mi umożliwiało częstsze wypady ze szkoły do domu, ile razy wypadło dwa wolne od zająć szkolnych dni.

Pewnego dnia latem, kiedy byłem w czasie wakacji w domu, przyjechała Ciocia Marysia ze Słonczewa i chyba w tej samej chwili kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, stała się jego współmieszkanką. Miała wtedy lat dwadzieścia trzy i była ode mnie tylko o dziewięć lat starsza, tyleż ile ja od Hani. Tym swoim pobytem u nas w Szereszowie otworzyła długotrwały, całożyciowy jeśli chodzi o mnie rozdział. Poza Józkiem Goncikowskim z Warszawy, Ciocia Marysia i Stryj Stach, a potem ich dzieci, to była jedyna rodzina ze strony mojego Ojca, z »»»





»»» którą wiązały nas więzy serdecznych uczuć. I tak to pozostało również w czasach, kiedy runął cały mój świat młodości, Polski i Rodziców, a dzieci stryjostwa przestały być dziećmi.

Ciocia Wójcikowa była urocza, umiała świetnie opowiadać, zapamiętałem historie jej należenia, czy nawet kierowania jakimiś towarzystwami gospodyń, a o Stryjku mawiała w superlatywach. Kiedy go wkrótce potem poznałem, potwierdziły się jej słowa w całej rozciągłości. Stryj był dobry i pogodny, nosił wtedy długie wąsy, o których «klechdy rodzinne» mówiły potem, że je Ciocia w nocy, gdy spał obcięła, bo jej się nie podobały. Mnie wtajemniczał w Słonczewie w mnóstwo sekretów rolniczych, zupełnie mi dotychczas nieznanych. Potem spotkaliśmy się wszyscy w Warszawie i mam z tego dnia zdjęcie obu naszych rodzin i Babci Wójcikowej, na którym jestem w harcerskim mundurku zastępowego. Jedyna to jest dzisiaj moja legitymacja harcerska, bo krzyż został w Polsce, w gruzach wojny i czasu. Mam też z tamtego dnia w pamięci i w oczach pamiętny obrazek wydarzenia, które mnie długo potem napawało dumą, gdy je wspominałem. Kiedyśmy tak wszyscy szli którąś z ulic Warszawy, z przeciwległej strony nadszedł mniejszy ode mnie szkrab, równie jak ja w mundurku, tylko że ze sznurkiem «szeregowego». Kiedy zbliżył się do nas, zrobił grobowo poważną minę, uroczyście zasalutował i powiedział:

– Czuwaj druhu !

Byłem głęboko przekonany, że musiało

to wywrzeć piorunujące wrażenie i na naszej rodzinie i na przechodniach, nic więc dziwnego, że bardzo we własnych oczach urosłem, nabierając zarazem szacunku do harcerstwa, do którego należenie tak bardzo się – jak się okazało – opłaca.

A później widzę Stryjka Stacha, jak chodzimy obaj po ulicach Prużany i jak mi kupuje szkolną czapkę, widząc moje czapkowe strzępy, używane naszą tamtoczesną modą do wszystkiego, z czyszczeniem butów włącznie. I słyszę mojego stryjecznego brata Henia, z któregoś z moich pobytów w Słonczewie, jak mówi:

– Mama choja, Ipuś choi i taka to jobota.

A ten «Ipuś» to Zygmuś, syn Ciotki Antosi, siostry mojego Ojca i Stryja Stacha.

Potem jest rok 1938 i widzę jak wjeżdżamy na rowerach do Słonczewa, po objeździe olbrzymiego szmatu Polski od Polesia poprzez Drohiczyn nad Bugiem, gdzie mieszkali Hanka i Janek Goławscy, Ostrołękę z Kadłubickimi, aż po Pułtusk i Słonczewo. Był to mój ostatni dłuższy kontakt z Ojcem, bośmy wędrówkę odbyli we dwóch. Miał lat 53, był w dobrej formie fizycznej. Dużo wtedy rozmawialiśmy, opowiedział mi wiele nowych rzeczy ze swojego życia, raz jeszcze przekonałem się, że to jego życie owijało się zawsze wokół spraw Mamy i naszych, Hani i moich. W pracę swoją w samorządzie wkładał nie tylko czas, ale i entuzjazm «budowniczego». A było wtedy co w Polsce budować i odbudowywać, zwłaszcza Kresy Wschodnie nigdy nie były obiektem troski carskiej Rosji. Dziś trudno to wszystko naszkicować słowami, ale naprawdę było nas wielu zakażonych bakcylem odbudowy i polskości, a «nas» mówię dlatego, że i ja zdążyłem jeszcze przed wojną zaprząc się do tego pługa odbudowy.

I wszystko to potem urywa się na rumowisku wojny. Nie od razu nawiązałem ze Stryjostwem kontakt, a dopiero po latach dowiedziałem się fragmentarycznie, jak straszne przechodzili chwile zagrożeni utratą życia, jak przeziębił się na całe już swoje późniejsze życie Henio, jak Jadzia nosiła na pocztę życiodajne paczki dla mnie do Oflagu, a kilkunastolatek Henio pisał mi na jenieckim listowym blankiecie, że jest już teraz «innym człowiekiem». A później Stryj mi przysyłał do niewoli przedwojenne podręczniki samorządowe, nie wiem skąd brane w tym okupacyjnym okresie, a potrzebne mi do ukończenia obozowej szkoły inspektorów samorządu terytorialnego, w której jednocześnie sam wykładałem księgowość.

Szły później lata, Mama mieszkała w Pułtusku z Jadzią i Jasią, siostrami Henia, a mnie się odwijały pod nogami drogi Niemiec, Brazylii i Stanów. Oni zaś wszyscy, niezapomniani, mieszkali gdzieś w zakątkach serca. Dalecy a bliscy, nieobecni, a w jakiś sposób zawsze obecni.

Ale to odbywało się później, w życiu które było takie, jakiego żadna fantazja przewidzieć i odmalować by nie potrafiła. Na razie był Szereszów, daleko nie tak wspaniały, jak Rewiatycze, ale zapełniony rosnącą wraz ze mną czternastolatkiem ciekawością życia. Serce po dawnemu przyrośnięte było do rodzinnego domu, lecz korzonki codzienności już owijały się wokół spraw szkoły, kolegów i poznawania. Byłem wciąż dzieckiem, ale już się zaczynałem zaliczać do młodzieży. Oboje Rodzice, Hania, a z nimi i gromadka tych najbliższych ze Słonczewa, co raz bardziej stawali się kimś «od święta». Prowadzić się za rękę przez życie, takie jakim ono w wieku lat kilkunastu bywa, sam siebie doglądać i kontrolować – musiałem bezapelacyjnie ja. Więc doroślałem chyba szybciej niż należało.

A Szereszów przeminął niedługo. Ojca znowu służbowo przeniesiono i to do miejscowości o wiele dla mnie ciekawszej. A ja w międzyczasie włożyłem długie zamiast krótkich spodnie i na rękawie szkolnego mundurka przybywały mi co rok paski klas. Najpierw srebrne, a po nich od piątej klasy złote.

Lata powoli mijały.

BŁOTO LECZNICZE Z JEZIORA TAJNE

Na terenie rezerwatu przyrodniczego «Przybużskie Polesie» położone jest jezioro Tajne («Ukryte» – red.), w którym jeszcze w 1988 roku zostały zbadane i obliczone zapasy sapropelu. Jednak jak do tej pory, niestety, ten cenny środek leczniczy pozostaje niewykorzystany.



Sapropel (z gr. saprós – zgniły, pelis – błoto; szlam gnilny) – jest to muł denny starzejących się lub zanieczyszczonych zbiorników wodnych, ciemny od siarczków żelaza, bogaty w substancje organiczne rozkładane przez drobnoustroje, doskonały naturalny sorbent.

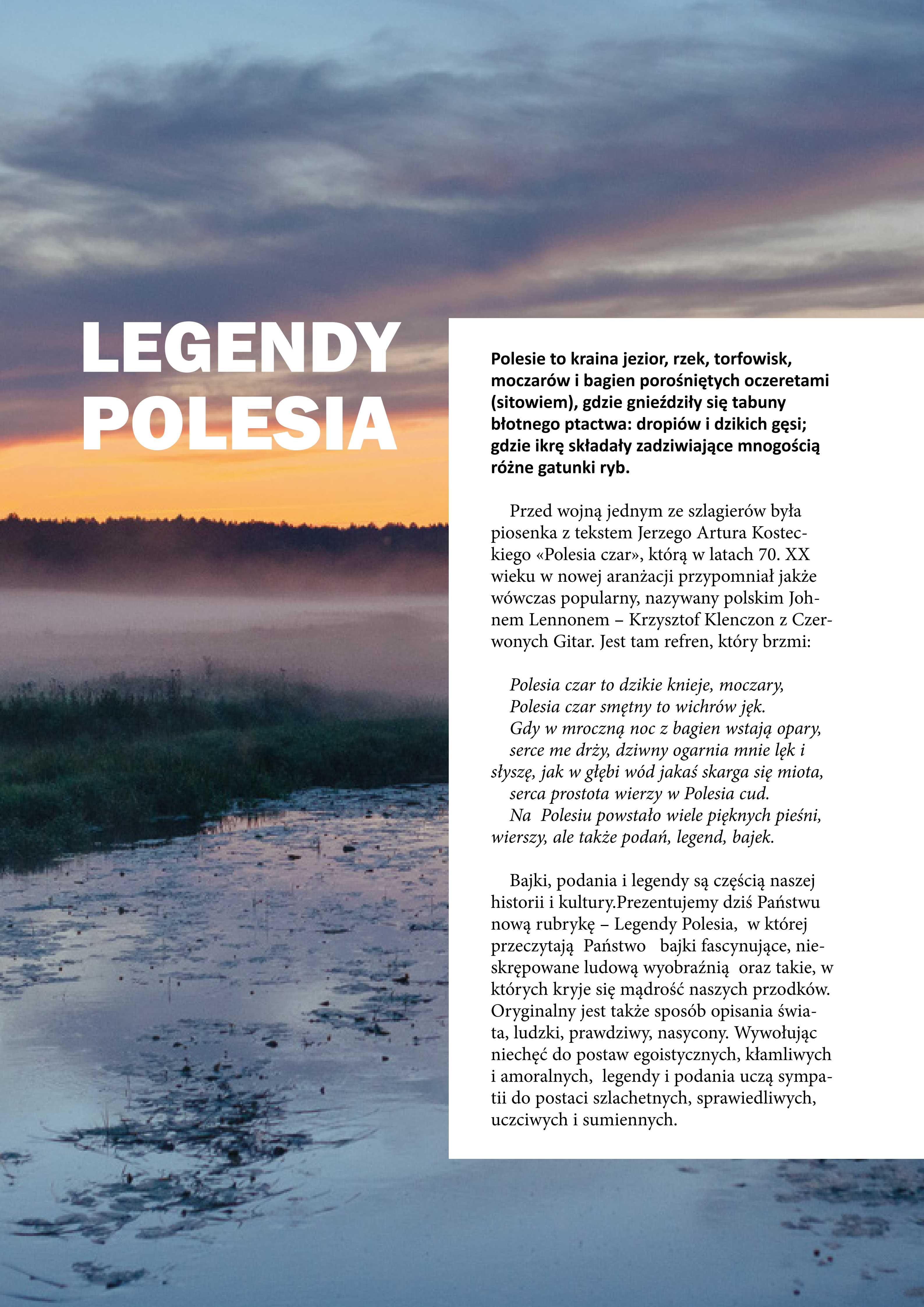
Właściwości lecznicze sapropelu były znane i stosowane już w Starożytnym Rzymie, Egipcie, Indiach oraz w Chinach. Jest wykorzystywany on także obecnie, m.in. w uzdrowiskach na Białorusi jako środek wspomagający leczenie wielu przewlekłych chorób. Pomimo właściwości leczniczych, sapropel – to doskonały nawóz organiczny, bardzo pożądany w gospodarce rolnej.

Największe zasoby zbadanych osadów sapropelu na Białorusi występują w jeziorach polodowcowych w witebskim i mińskich obwodach – ponad 80%, nieco ponad 15% – w obwodach homelskim i brzeskim oraz tylko ok.2-2,5% – w obwodach mohylewskim i grodzieńskim. Przez naukowców z Białoruskiej Akademii Nauk zbadano zapasy i możliwości wykorzystania na szeroką skalę sapropelu z jezior Sudobl, Motyl, Ołtusz, Dzikie, Tajne i in. Obecnie są najbardziej rozpracowane zasoby sapropelu jeziora Dzikie w obwodzie grodzieńskim, wydobywane i przetwarzane przez zakład specjalistyczny dla potrzeb uzdrowisk «Radon» oraz «Alfa Radon».



Przy tym, że sapropele z jeziora Dzikie, naturalne zasoby którego szacowane na ok.395 tys. m3, wydobywa się już od 30 lat i po wybudowaniu kolejnego uzdrowiska w pobliżu «Alfa Radon», eksploatacja jego złóż znaczącą wzrosła, znacznie większe zasoby sapropelu posiada jezioro Tajne w rejonie brzeskim (ponad 420 tys. m3). Tak duże, nieruszone jeszcze złoża sapropelu w tym jeziorze oraz rosnące zapotrzebowanie białoruskich uzdrowisk na produkowane z sapropelu naturalne środki lecznicze (tylko w obwodzie brzeskim funkcjonuje obecnie 10 sanatoriów) niewątpliwie powinne przyczynić się do powstania na jeziorze Tajne odpowiedniego specjalistycznego zakładu przetwórstwa i uruchomienia produkcji na potrzeby nie tylko uzdrowisk, lecz także całej branży farmaceutycznej na Białorusi.

PROFESOR ALBERT BOGDASAROW,
TŁUM. I OPR.
EUGENIUSZ LICKIEWICZ



LEGENDY POLESIA

Polesie to kraina jezior, rzek, torfowisk, moczarów i bagien porośniętych oczeretami (sitowiem), gdzie gnieździły się tabuny błotnego ptactwa: dropiów i dzikich gęsi; gdzie ikrę składały zadziwiające mnogością różne gatunki ryb.

Przed wojną jednym ze szlagierów była piosenka z tekstem Jerzego Artura Kosteckiego «Polesia czar», którą w latach 70. XX wieku w nowej aranżacji przypomniał jakże wówczas popularny, nazywany polskim Johnem Lennonem – Krzysztof Klenczon z Czerwonych Gitar. Jest tam refren, który brzmi:

Polesia czar to dzikie knieje, moczary,
Polesia czar smętny to wichrów jęk.
Gdy w mroczną noc z bagien wstają opary,
serce me drży, dziwny ogarnia mnie lęk i
słyszę, jak w głębi wód jakaś skarga się miota,
serca prostota wierzy w Polesia cud.
Na Polesiu powstało wiele pięknych pieśni, wierszy, ale także podań, legend, bajek.

Bajki, podania i legendy są częścią naszej historii i kultury.Prezentujemy dziś Państwu nową rubrykę – Legendy Polesia, w której przeczytają Państwo bajki fascynujące, nieskrępowane ludową wyobraźnią oraz takie, w których kryje się mądrość naszych przodków. Oryginalny jest także sposób opisania świata, ludzki, prawdziwy, nasycony. Wywołując niechęć do postaw egoistycznych, kłamliwych i amoralnych, legendy i podania uczą sympatii do postaci szlachetnych, sprawiedliwych, uczciwych i sumiennych.

PRUŻANY

W dokumentach z 1473 r. znajduje się wzmianka o Dobuczynie – potem Prażanach. Nazwa Prużana zatwierdzona została w 1588 roku, gdy miastu nadano prawo magdeburskie. Z «Rewizji ekonomii Kobryńskiej» z 1563 roku dowiadujemy się, że miasto było rozległe, miało 6 ulic, rynek, 2 cerkwie.

Według legendy nazwa Prużany została nadana dla uczczenia Pruzeny, córki właścicielki miasta, która w dzieciństwie tragicznie zginęła. Niania, spacerując z dzieckiem nad Muchawcem, nieszczęśliwie upuściła je do rzeki. Dziewczynkę porwał wąż wodny. Odzwierciedleniem legendy jest herb Prażan, który nadała miastu Hanna Helonka w roku 1588 – błękitny wąż, który w paszczy trzyma dziecko.

Na skraju Prużan stoi maleńki porządny domek. Mówią, że właśnie tu mieszkała Barbara. Gdy zmarła, nowi właściciele domku wytrzebili stare jabłonie, które z taką miłością pielęgnowała. Znikły gdzieś naczynia i meble, które po niej pozostały. I może nikt by nie pamiętał o siwej sympatycznej staruszce, gdyby nie związana z jej życiem tajemnica niedokończonego kościoła.

Barbara nie pamiętała swoich rodziców. Zmarli, gdy była jeszcze mała. Dziewczynką zaopiekował się stary ogrodnik hrabiego Szwykowskiego. Zamieszkała ona z nim w Prużanach, majątku hrabiego.

Szwykowskiego uważano za wielkiego dziwaka. Wieczorem, zbierając się w kuchni grubej kucharki Teresy, słudzy śmiejąc się opowiadali niekończące się zabawne historie, których bohaterem był ich pan. Teresa, która prowadziła rachunki hrabiego i zarządzała jego gospodarstwem, ciągle liczyła, ile stracił «stary dureń» zakładając wokół domu rozległy park. Lokaj Joachim przedrzeźniał hrabiego, naśladując jego miny i gesty, gdy grał na skrzypcach. Ktoś grobowym głosem oznajmiał, że widział pana o północy na skrzyżowaniu dróg, nieopodal cmentarza. Przestraszone kobiety zawołały: «Matko Boska, nie może być, żeby pan Szwykowski z diabłem się znał!»

Może z powodu tych wiecznych pogawędek Barbara zainteresowała się osobą hrabiego. Sprzątając pokoje, dłużej zatrzymywała się w bibliotece i oglądała grube folianty na półkach. Znała trochę język polski, ale nie tylko polskie księgi tam stały. Potem sam pan Szwykowski pokazał jej, że były tam dzieła pisane po starosłowiańsku, po łacinie, po grecku, po francusku i nawet księgi starohebrajskie. Pocztą przysyłano panu wiele książek i czasopism, które czytał wieczorami. Wtedy Barbara cichutko stała u drzwi, patrzyła jak zmienia się oblicze pana i próbowała z wyrazu jego twarzy odczytać, o czym mówi książka, w której się zagłębił. Kiedyś zdecydowanie odłożył czytany tekst i zaczął coś szybko rysować

na dużym arkuszu. Barbara podeszła cichutko, wtedy hrabia, jakby spodziewając się tego, zaczął objaśniać – jak najprościej, żeby dziewczyna zrozumiała – co zamierza.

– Widzisz, miła, chcę zbudować kościół. To jest projekt. Kościół powinien być okazały i piękny, z posągami i organami. Wiem, gdzie można zdobyć cudowny posąg Matki Boskiej. To dość stara rzeźba. Ma wielkie pełne smutku i opuszczenia oczy, jak matka, która cierpi z powodu nieszczęsnego losu swych dzieci. Niech płacze Panna Maryja nad naszą dolą, bo, zaprawdę, gorzka ona...

Oczy hrabiego raptem zrobiły się groźne i chłodne. Tego wieczoru niczego więcej nie mówił. Milczał i potem, ale Barbara wiedziała, że wizja kościoła nie opuszcza go nigdy. Odrzucił kilka arkuszy z projektami budowli, aż wreszcie osiągnął to, czego pragnął. Potem zaczęły się gorączkowe poszukiwania miejsca na budowę, potem do siedziby hrabiego zaczęli przyjeżdżać majstrowie-budowniczy. Szwykowski wracał do siebie późno i nawet nie jedząc kolacji rzucał się na łóżko i zasypiał.

Przechodząc obok budowy, Barbara zatrzymywała się i patrzyła. Stawał się cud. Z ziemi wyrastały śnieżnobiałe ściany, jak skrzydła aniołów rozpościerały się po bokach nawy, a kamień, zdawało się, śpiewa

chorał wdzięczności za tchnięte weń życie.

Miejscowy ksiądz z radością obserwował, jak powstaje «Dom Pana Jezusa», jak mówił. Widział już siebie wewnątrz wspaniałej świątyni, słyszał swój głos w czasie kazania.

– Pan Szwykowski podjął się wielkiego dzieła – mówił ksiądz. – Pan Szwykowski jest prawdziwym synem kościoła katolickiego.

Hrabia zżymał się, gdyż nie bardzo szanował leniwego i nieszczerego księdza i nie dla jego wdzięczności i podziwu wznosił kościół.

O prawdziwych pobudkach, które inspirowały Szwykowskiego, dowiedziała się Barbara później z długich nocnych rozmów, prowadzonych z dziwnymi obcymi ludźmi. Zaczęły się one wtedy, gdy trwały już prace wewnątrz świątyni. Do bramy zastukał człowiek w czarnym jak diabelskie skrzydła płaszczu i czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Barbara zaprowadziła go do pana i stanęła u drzwi. Słyszała zdziwiony głos gospodarza i ciche, ledwie słyszalne słowa przybysza. Rozmawiali prawie całą noc. Rankiem gość zniknął. W tym dniu hrabia nie poszedł na budowę, robił skomplikowane obliczenia finansowe.

Po dwóch tygodniach gość zjawił się znów. Tym razem nie był sam. Przyprowadził młodego chłopca o wielkich szarych oczach, z obandażowaną prawą ręką na temblaku. Barbara słyszała ich całą rozmowę.

– Jesteście odważnymi ludźmi – mówił gospodarz. – W waszej sytuacji nie ryzykowałbym przyjścia tutaj.

– Nie mieliśmy wyboru – odrzekł człowiek w czerni. – Naszego przyjaciela śledzą. A w Puszczy Różańskiej nie mógł zostać. Tydzień, dwa w spokoju, dobre odżywianie i pomoc lekarska – tego mu teraz trzeba.

– Nie mam nikogo, komu mógłbym powierzyć jego życie – ociągając się powiedział Szwykowski.

– Pan chce powiedzieć, że pomyliliśmy się, zwracając się do niego? – zapytał gość.



Zapadło długie milczenie. Przerwał je młody, dźwięczny głos:

– «Kostuś» przesyła panu wyrazy wdzięczności, panie Szwykowski. Prosił mnie, żebym poinformował, że za pieniądze pana kupiono broń, która już była użyta w walce.

Zaskoczony tymi słowami hrabia zrzucił na podłogę marmurowy kałamarz, który nerwowo przesuwał po stole.

– On, osobiście, to powiedział? »»»

»»» Wie o mnie?

– Niestety, nie mamy tylu przyjaciół, żeby nie móc zapamiętać ich imion.

Barbara teraz domyśliła się, kto przybył do jej pana. To bandyci groźnego leśnego herszta – Kalinowskiego! Nieraz słyszała, jak ci ludzie przechwytywali na drodze wozy kupieckie, robili naloty na miasteczka, gdzie rozprawiali się z urzędnikami, żołnierzami, żandarmami i wzywali chłopów do przyłączenia się do leśnych gromad. Barbara wyobrażała ich jako baśniowych złoczyńców: ze zmierzwionymi brodami, w łachmanach, z nożami i pistoletami za pasem. A ten ładny chłopiec w niczym nie przypominał bandyty.

Nagle drzwi się otworzyły i trzej rozmówcy wyszli zanim Barbara uciekła. Hrabia ją zauważył.

– Podsłuchiwałaś nas?

Barbara skinęła głową. Na twarzy hrabiego odmalował się gniew. I wtedy odezwał się młodzieniec:

– Czy potrafisz dochować tajemnicy? Ja będę twoją tajemnicą, śliczna.

Barbara, oczarowana szczerym uśmiechem i pięknymi szarymi oczami, nie

mogła odmówić. Co dzień go odwiedzała – przynosiła jedzenie, opatrywała ranę, która szybko się goiła. Chłopiec czuł się coraz silniejszy i wracała do niego młodzieńcza radość życia. Coraz częściej zwierzał się dziewczynie ze swojej miłości, która go ogarnęła od pierwszego spojrzenia. Barbara była szczęśliwa. Teraz często przysłuchiwała się rozmowom hrabiego z szarookim gościem. I coraz bardziej poznawała tajemnicę kościoła.

– Całą moc i piękno ludzkiej duszy, nasze dążenie do wolności i niezależności, płomień serc chcę zawrzeć w tej kamiennej budowli. Kościół będzie hymnem naszego narodu, który zmaga się z przemocą obcych i ich wiarą.

– Dla wielu Białorusinów prawosławie, to ich wiara – w zamyśleniu powiedział młodzieniec.

– Po tym, jak w cerkwiach zaczęto nawoływać do pokory wobec tych, kto dokonał zamachu na naszą wolność i życie, do przyjęcia obcych zwyczajów, języka i kultury, Białorusin nie może uważać prawosławia za swoja wiarę. Może mylę się, ale kto teraz jest pewien nawet siebie?

Hrabia gorąco wierzył w zwycięstwo powstania.

– Kościół mój – mówił, – będzie symbolem tryumfu dla zwycięzców. Ty będziesz pierwszy, kto weźmie w nim ślub – hrabia zwrócił się do swego gościa. – Albo Barbara. A może oboje razem.

Uśmiechając się spojrzał na zarumienioną młodą parę.

– A jeśli przegramy? – zapytał młody.

– To niemożliwe... Wtedy kościół będzie rekwiem dla naszej sprawy. I nie będzie w świecie bardziej tragicznego miejsca...

Czas mijał. Szarooki powstaniec musiał wracać do oddziału. Żegnając się serdecznie ucałował Barbarę. Był to pierwszy w jej życiu pocałunek mężczyzny. Żeby mogła wiedzieć, że ostatni...

Po kilku tygodniach pośród nocy po raz ostatni zjawili się powstańcy w domu Szwykowskiego. Wśród nich był znajomy Barbary w czarnym płaszczu.

– Proszę się zbierać, panie Szwykowski – rzekł człowiek w czerni. – Musi pan opuścić tą okolicę. Jesteśmy rozbici. Wielu schwytano. Ktoś zdradził. Jutro przyjdą po pana.

Hrabia w milczeniu ubrał się, wrzucił do płonącego kominka jakieś papiery i zawołał Barbarę.

– Odjeżdżam. Nie wiem, czy wrócę. Ale o tym nikomu nie trzeba mówić. Chcesz o coś zapytać?

– Tak – wyszeptała. – Co się stało z tym młodym paniczem, który tu u nas się leczył?

– Został w Puszczy Różańskiej – cicho powiedział hrabia.

– Czy wróci?

– Nie, moja nieszczęsna dziewczynko. I nigdy nie będzie tobie ślubować w naszym kościele, bo on już ożeniony – z kulą. Wybacz mu, miła, i nam wybacz...

Hrabia już nie wrócił do swego majątku.

Jego los dotąd jest tajemnicą.

Młoda hrabina – dziedziczka majętności, która wkrótce się zjawiła, pozwoliła księdzu zrobić z kościołem co chce. Na dokończenie budowli nie chciała nic dać. Chytry i chciwy klecha wolał sprzedać prawie gotową budowlę prawosławnej cerkwi, i zbudować maleńki «Dom Pana Jezusa» – brzydki i nieprzytulny.

Niedługo służył kościół innemu wyznaniu. Pożar, który nagle wybuchł, zniszczył go całkowicie. Przyczyn nie odkryto.

Barbara twierdziła, że podczas pożaru widziała w tłumie człowieka w czarnym płaszczu.

"ŚWIĘTY" SZERESZ

Jarmark szereszewski. Barwne kramy, wielkie kosze pełne złocistych i rumianych jabłek, kury gdaczące w rękach handlarek, dźwięczne zawołania: «Wstążki! Wstążki do warkoczy ślicznotek!» A na środku rynku pokazują teatrzyk lalkowy. Dziesiątki gapiów stłoczyło się wokół i ze śmiechem oglądają zabawne przygody wieśniaka, który kijem bije najpierw pana, potem popa i nareszcie – samego diabła. Przedstawienie wszystkim się podoba. I tylko starzec z długą, zmierzwioną brodą nie zwraca na nie uwagi, nie ulega ogólnemu nastrojowi. Widział w swym długim życiu wiele takich występów, wszystkie podobne do siebie.

Można w nich za pośrednictwem lalek wiele ludziom powiedzieć, choćby historię Szersza, legendarnego założyciela ich miasteczka. Nie tylko gwoli zabawy, ale dla zachowania pamięci o przodkach. Zdecydował się: po spektaklu podejdzie do lalkarza i zaproponuje mu nowy temat.

***

Tu, gdzie teraz leży Szereszowo, był kiedyś las. Na tym bezludziu stała tylko jedna brudna karczma na skraju szlaku handlowego o kilka wiorst stąd. Miała ona złą sławę, gdyż jej właściciela podejrzewano o zmowę z leśnymi bandytami. Karczma upadła, gdyż bogaci wędrowcy nie zatrzymywali się w niej. Ale raz przybył wieczorem młody człowiek, bogato odziany i widać, że szlachcic.

– Hej, gospodarzu! – zawołał. – Masz złoty za kolację i obrok dla konia. Przenocuję tu.

Karczmarz chciwie chwycił złotą monetę. Usłużnie kłaniał się gościowi, nalewał najlepsze wino, posadził w najwygodniejszym miejscu, odpędził stałych pijanych bywalców w łachmanach, którzy obstąpili młodego przybysza. Rozeszli się po kątach i stamtąd szepcząc obserwowali rzadkiego tu gościa. W ciszy słychać było tylko przesłodzony głos karczmarza, który uzgadniał, co podać na wieczerzę. Potem odszedł, żeby zadbać o konia. Wtedy do stołu szlachcica przysiadł się nieznajomy, bardziej podobny do żebraka, niż do kogoś, kto ma czym zapłacić za nocleg. Chwilę milczał, a potem zapytał młodego człowieka:

– Ktoś ty?

– O to ja mógłbym zapytać ciebie – z wyższością odrzekł szlachcic.

– Mogę ci powiedzieć, ale sądzę, że moje imię nic ci nie powie. A wiedząc kim ty jesteś, mógłbym ci pomóc – odrzekł żebrak.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy – uśmiechnął się szlachcic. – Wystarczy mi honor i szabla.

– Szkoda, że rezygnujesz z mojej przyjaznej propozycji – westchnął obdartus i znikł.

Nocą coś obudziło młodego szlachcica. Chwycił szablę, która zawsze leżała obok. Skrzypiały schody. Chwila i drzwi się otworzyły. Stał w nich karczmarz ze świecą w jednej ręce, a w drugiej – z długim nożem.

– Pan nie śpi? – powiedział. – Cóż, tym gorzej...

Gwizdnął i do izby wpadło od razu sześciu zabijaków. Przycisnąwszy się plecami do ściany szlachcic zręcznie odparowywał ciosy. Kilka razy trafił w coś miękkiego i wtedy w ciemności rozlegało się przekleństwo i jęk. Ale i sam był już ranny. Wtedy nieoczekiwanie nadeszła pomoc. Ktoś silny i zręczny wskoczył przez okno i na głowy napastników poleciały ława, dzban z »»»



»»» wodą, jakieś inne przedmioty. Kogoś przydusił przewrócony stół, ciężka laga porachowała komuś żebra. Niedoszli zabójcy umknęli.

– Jak ci się odwdzięczę, mój wybawco? – zapytał szlachcic ciężko dysząc.

– Twój koń pod oknem! – dobiegło z ciemności.

Gdy się zatrzymali po długim galopie, szlachcic ze zdziwieniem rozpoznał w swym wybawcy wczorajszego żebraka.

– Dziwi cię, że też mam konia – odezwał się żebrak. – To nie mój, wyprowadziłem go ze stajni karczmarza.

– Dlaczego chcieli mnie zabić? – zapytał szlachcic.

– Dla twoich pieniędzy. Czy nie wiesz, że dla takich ludzi jak karczmarz, nie należy pokazywać złota.

– Ale ten złoty, którym zapłaciłem za wieczerzę i nocleg, był ostatni.

Żebrak najpierw zdziwiony popatrzył na młodego człowieka, a potem zarechotał. Zsunął się z konia i zanosząc się śmiechem tarzał się po ziemi.

– Ale głupcy! – wołał chichocząc i chrypiąc. – Gdyby wiedzieli! Trudno poznać czy jabłko nie jest robaczywe, zanim ugryziesz. Patrz, kogo można obrabować! – Na dłoni żebraka leżał piękny wielki diament.

Tak rozpoczęła się przyjaźń szlachcica spod Krakowa Jana Krasowskiego i wolnego człowieka Szeresza. Niezwykły był los każdego z nich. Zubożały Jan Krasowski miał szczęście spodobać się jednej z najznamienitszych dam dworu. Niestety,

miała ona zazdrosnego męża, który szybko odkrył potajemny romans żony i młodego gładysza, i wyciągnąwszy na światło dzienne niektóre jego sprawki, zmusił do ucieczki na ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Szeresz w swoim życiu zmienił wielu panów i doszedł do wniosku, że najlepsza jest niezależność. Poznaczony wieloma bliznami, które świadczyły o nieobojętnym traktowaniu go przez wielu ludzi, najbardziej dumny był z głębokiej szramy przez całą twarz, po której poznawali go przyjaciele i wrogowie. Zaś wielki diament w jego dziurawej kieszeni dowodził, że uczynki tego człowieka nie zawsze były zgodne z prawem.

Jak by nie było, Szeresz zaproponował swemu nowemu przyjacielowi umowę: połączą znane imię szlachcica i tajemniczy skarb Szeresza, żeby uzyskać od króla pozwolenie na założenie niewielkiej osady, która nosiłaby imię Szeresza i formalnie należała do Krasowskiego. To była korzystne dla wygnańcy dworaka, i dla włóczęgi z niejasną przeszłością.

Tak powstało Szereszewo. Jego pierwszymi mieszkańcami zostali przyjaciele Szeresza z czasów niebezpiecznych wędrówek. Groźni, silni, dumni przychodzili tu, żeby znaleźć tymczasowe schronienie przed licznymi wrogami i zostawali na zawsze. Do nowej osady przybywali też wieśniacy, gnębieni ponad miarę przez miejscowych obszarników. Osiedlali się tam rzemieślnicy i kupcy, przybył stary duchowny. Duszą całej sprawy był energiczny, wesoły, sprawiedliwy Szeresz. Zarządzał on sprawami miasteczka, rozsądzał spory mieszkańców, błogosławił nowożeńców, na czele oddziału najbliższych przyjaciół zbrojnie chronił osadę. Jego towarzysz podziwiał praktyczny zmysł i szczodrość przyjaciela, które ujawniały się w różny sposób: od sprawiedliwego podziału łupu, zdobytego na wrogach, do równie szczodrej miłości, którą ofiarowywał każdej chętnej. Szeresz nie ożenił się, ale wiele dzieci wśród nowych mieszkańców miasta nosiło nazwisko Szereszowicz, Szerszunowicz, Szereszowiec, utworzone od imienia ojca...

Pewnego razu znaleziono w lesie Krasowskiego z wbitym w piersi drogim kindżałem. Stary zazdrośnik odnalazł rywala. Twarz Szeresza zasępiła się.

Nocą, po pogrzebie przyjaciela, wyruszył on w podróż, zabierając kindżał, którym zabito Krasowskiego. Wkrótce do miasteczka dotarła wieść o okrutnej zemście dokonanej przez Szeresza. Król zarządził pościg za mścicielem. Wiele lat czekano na powrót Szeresza, ale daremnie. Chodziły słuchy, że zginął w potyczce z oddziałem strzelców królewskich. Ale nie wierzono temu, gdyż długo jeszcze młode matki nazywały swoje nowonarodzone dzieci imieniem Szeresza.

MATKA BOSKA OBROŃCZYNI

Na skraju Puszczy Białowieskiej, przy trakcie Brześć – Kamieniuki, leży duża wieś Dzmitrowicze. Nieopodal drogi stoi cerkiew pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, wzniesiona w roku 1786.

Zdarzyło się to upalnym latem 1938 r. Mieszkańców obudziło alarmowe bicie dzwonów – płonęła wschodnia część wsi. Bieda połączyła ludzi, którzy wspomagali się nawzajem, walcząc z żywiołem. W studniach i sadzawkach brakło wody, ogień zaś szalał z co raz to nową siłą, trawił kolejne budynki.

Wtedy moja babcia Maryja Palikarpauna Jeliniecka (z domu Lewicka), kobieta wielkiej wiary, wyniosła z domu trzechsetletnią ikonę Matki Boskiej «Niegorejący Krzew Cierniowy» i stając na kolana, podniosła ją ku górze. Usta babci szeptały modlitwę, skierowaną do Matki Boskiej.

Rozgrzane do białości ściany budynków nie zapaliły się. Cud?! Nagle, niby zmęczony okrutną «pracą», ogień ucichł. Cerkiew, znajdująca się obok naszego domu, ocalała. Ocalała też reszta wsi. Cerkiew do dziś cieszy oko i daje ukojenie duszom. A historia, która wydarzyła się naprawdę, stała się legendą.

POWIAT ŁUNINIECKI W STARYCH FOTOGRAFIACH



Dom bogatego mieszkańca Łunińca. Foto A.Wysockiego

Witajcie Drodzy Rodacy!

Prawdopodobnie macie dość czytania obszernych artykułów historycznych i krajoznawczych o Łunińcu. Obiecuję: dzisiaj ich nie będzie. Będą tylko nowe ciekawe zdjęcia mojego rodzinnego miasta. Są to fotografie, których wcześniej nie widziałem i dlatego postanowiłem się nimi z Wami podzielić w ramach projektu «Czas. Wydarzenia. Losy».

Skąd wzięły się te zdjęcia i co, moim zdaniem, jest w nich ciekawego:

1. Pierwsza grupa to materiały Alfonsa Wysockiego, znanego nauczyciela języka niemieckiego i łaciny z przedwojennego Gimnazjum im. Króla Wł. Jagiełły w Łunińcu. Jego zdjęcia były publikowane w dużym nakładzie na pocztówkach. Ponadto A. Wysocki w latach 1930-32 często drukował artykuły o Łunińcu i jego okolicach w poznańskim magazynie «Ilustracja Polska». Pan Alfons studiował na Uniwersytecie Poznańskim, więc często pisał dla lokalnych czasopism. Ja natrafiłem na numery – o łuninieckich wsiach, głównie – Brodnicy i o stolicy Polesia – Pińsku. Załączam do tej notatki kilka forografii wiejskich. «Pińskie» foto A. Wysocki «przeplótł» trochę zdjęciami Łunińca. Na przykład, wiele osób dobrze zna letnie «pocztówkowe» widoki Łuninieckiej osady kolejowej Zalesie, ale po raz pierwszy widzę zdjęcie «zimowego» Zalesia. Bardzo ciekawa jest również piękna odsłona maszynisty parowozu «Kolejarz Łuniniecki», a także duży wilk, upolowany przez mieszkańców Łunińca zimą 1931 roku.

2. Towarzystwo Łuninieckiego Kolejowego Przygotowania Wojskowego (KPW) miało wielu członków w Łunińcu. Ich szycht przed budynkiem Łuninieckiego Dworca Kolejowego znajduje się na osobnym zdjęciu z 1933 roku.

3. Rzadko można zobaczyć stary Dworzec Kolejowy w Łunińcu na foto dobrej jakości. Chciałbym się z wami, Drodzy Rodacy, podzielić takim zdjęciem z roku 1942. Poza dobrą jakością, ciekawe jest jego pochodzenie. Jest to fotografia z czasów «okupacji», wykonana przez węgierskiego (w gwarze ludowej – madziarskiego) żołnierza. Znalazłem ją w Węgierskiej Bibliotece Cyfrowej. Autor jest wymieniony jako Jeno Kokani. Zdjęcie przedstawia węgierskiego żołnierza na starym moście kolejowym dla pieszych przy Stacji kolejowej Łuniniec.

4. Bez wątpienia zasługują na osobny duży foto album Poleskie fotografie naszej sławnej Rodaczki z Parochońska Zofii Chomętowskiej (z Druckich – Lubeckich). Wirtualny Muzeum Fotografii i spadkobiercy Księżnej idą tą drogą. Lecz nie mogę utrzymać się od spakusy podać foto stacji Łuniniec z tego rakursu, który rzadko trafia do objektywu.

5. «Wisienką na torcie» będzie zdjęcie Łuninieckiej parowozowni okresu «carskiego»…

Poszukiwania wciąż trwają.

Z POWAŻANIEM,
ŚWIATOSŁAW JANOCZKIN.

PS. Autor, jak i redakcja, z wdzięcznością przyjmą skany lub oryginały przedwojennych zdjęć związanych z Łunińcem.



Łuniniec. Parowazownia i Dworzec Kolejowy (przed 1918 rokiem)



Kolejarz. Foto A.Wysockiego



Dworzec kolejowy.Foto J.Kokani

Stacja Łuniniec, 1942 r. Foto J.Kokani





Stacja Łuniniec. Foto Z. Chomętowskiej



Łuninieccy chłopcy. Foto A.Wysockiego



Droga z pomostem. Ffoto A.Wysockiego



Typ Poleszuka. Foto A.Wysockiego

Typ kobiety ze wsi Brodnica, powiat łuniniecki. Foto A.Wysockiego





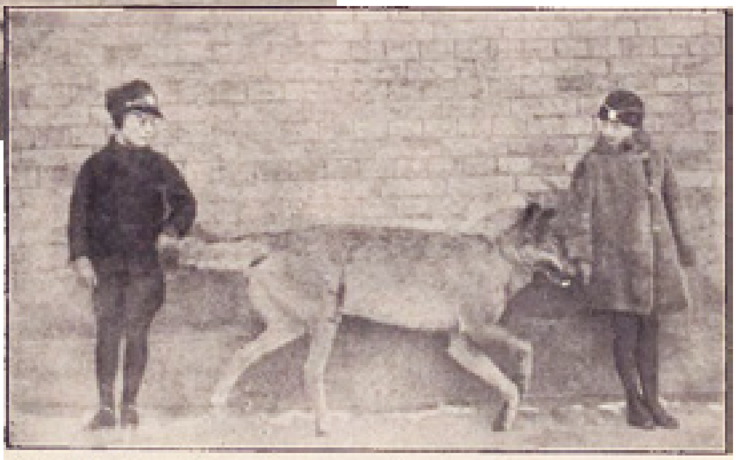
Szycht łuninieckiego PKW przed
Dworcem Kolejowym, 1936 r.



Łuniniec.Zalesie. Foto A.Wysockiego



Widok typowego żytła Poleszuka.



Niezwykły okaz wilka, upolowanego podczas tegorocznej zimy przez mjr. Lubojackiego w Łunińcu na Polesiu. Wilk ten, ciężko postrzelony, zranił majorowego oraz złamał 2 strzelby, zanim go dobił chłop widłami.

Wilk upolowany przez majora Lubojackiego . Foto A.Wysockiego



Łuniniec.Zalesie. Foto A.Wysockiego



Uczennicy 3. Klasy Gimnazjium w Łunińcu Zofia i Olga oglądają numer «Ilustracji Polskiej». Foto A.Wysocki.



Dw. kolejowy w Łunińcu. Od miasta. 1930



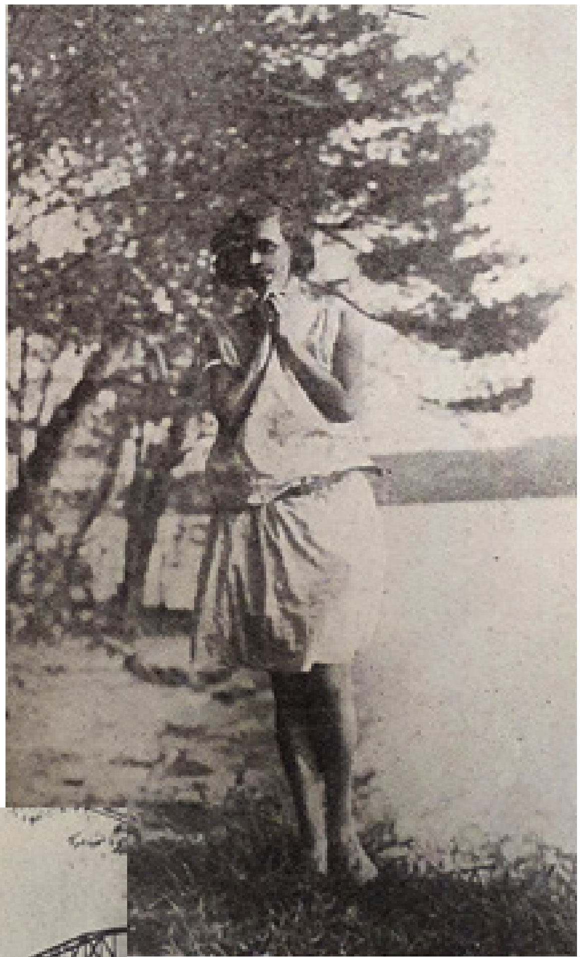
Dw. kolejowy w Łunińcu



Ulica Targowa z szeregiem domków kupieckich, przeważnie żydowskich.
Na perwszym planie – sklep naczyń i żyrandoli Haima Wilka. Foto A.Wysocki.



Grupa kolejarzy z Łunińca podczas prac przy zabezpieczaniu torów przed powodzią. 1932 r. Foto A. Wysocki.



Gdy majowe słońce pali ogniem niby w lipcu, najlepiej ten czas spędzić na brzegu jeziora, zrzucić trzewiki i boso brodzić po wodzie. Maj 1932 r. Foto A. Wysocki.



Zalane wodami Prypeci tory kolejowe w okolicy Mostów Wolańskich w powiecie Łuninieckim. Worki z piaskiem po prawej stronie służą jako zabezpieczenie kolei przed powodzią. Kwiecień 1932 r. Foto A.Wysocki.



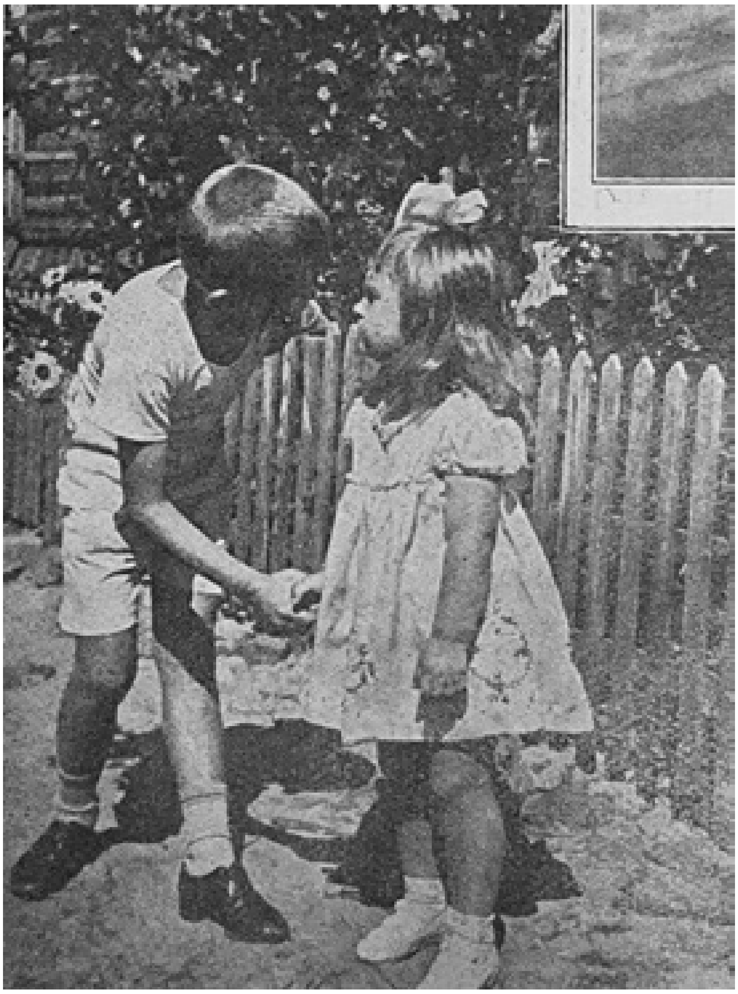
Żniwa w powiecie Łuninieckim. Foto A. Wysocki.



Wiosenne roztopy w Łunińcu. Kwiecień 1932 r. Foto A. Wysocki.



Zygmunt Łoziński – biskup Piński. Foto A. Wysockiego z okładki numeru magazynu «Ilustracja Polska», poświęconego pamięci biskupa.



Malowniczo wygląda Prypeć z kolejowego przystanku o tej samej nazwie. Nieco w oddali są widocze podpory zniszczonego podczas wojny 1919-1920 mostu. Z prawej strony – znak geodezyjny. Foto A. Wysocki.



Nad jeziorem. Maj 1932 r. Foto A. Wysocki.



Kanał Żylińskiego przy ujściu do Prypeci. Foto A. Wysocki.



Żniwa w powiecie Łuninieckim. Powrót do domu. 1932 r. Foto A. Wysocki.



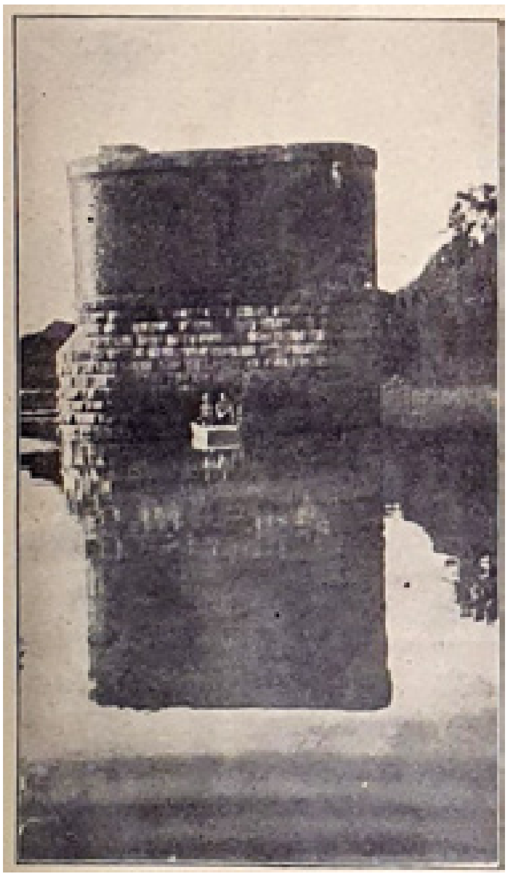
Rybak poleski z nastawką. Rysunek A. Wysocki.

Trzy mieszkanki Poznania z poleskimi dziećmi oraz żołnierzami KOPu ze służbowym psem przy słupie granicznym w powiecie Łuninieckim. Foto A. Wysocki.



Rybacka chata na piaszczystym brzegu nad Prypecią. Foto A. Wysocki z cyklu «Prypeć – błogosławieństwo Polesia i jego bieda».





Wędkarze w cieniu podpory zniszczonego mostu kolejowego przez Prypeć. Foto A. Wysocki.



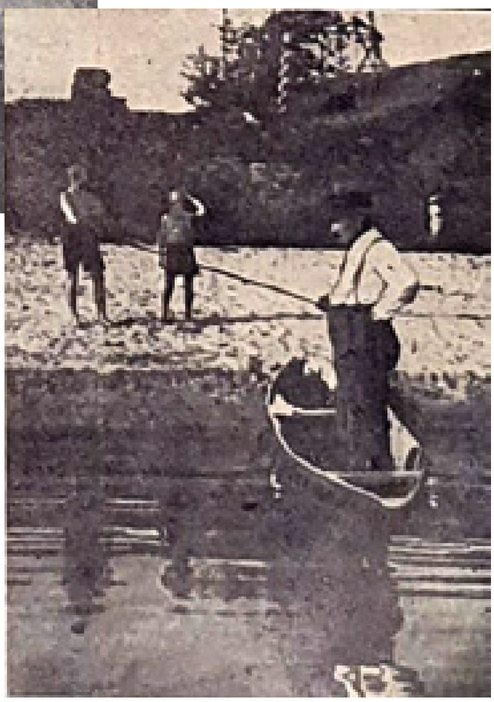
Wśród wylewów w powiecie Łuninieckim. Ksiądz z posługą duszpasterską. Foto A. Wysockiego z okładki numeru «Ilustracja Polska». Wiosna 1932 r.

Typowy nadprypecki krajobraz. Foto A. Wysocki z cyklu «Prypeć – błogosławieństwo Polesia i jego bieda».





Ekzotyczne piękno Polesia. W powiecie Łuninieckim. Foto A. Wysocki.



Kolejarz-urzędnik na Prypeci za pomocą wędki poprawia «dziury» w budżecie domowym w czasie światowego kryzysu gospodarczego. 1932 r. Foto A. Wysocki z cyklu «Prypeć – błogosławieństwo Polesia i jego bieda».

PIERWSZY BIAŁORUSKI KONIAK NAZWANO NA CZEŚĆ ALEKSANDRA SKIRMUNTA



W maju b.r. Piński zakład produkcji win rozpoczął wytwarzanie 3-letniego koniaku, wyprodukowanego z winogron miejscowych gatunków. Do nabycia będzie od czerwca 2021 roku - po uzyskaniu odpowiednich certyfikatów jakości.

Po raz pierwszy produkcję koniaku białoruskiej marki anonsowano jeszcze w 2019 roku. Wtedy też została zaprojektowana stosowna butelka oraz etykieta z descriptem «cognac». Produkt nazwano «A.SKIRMUNTT» na cześć Aleksandra Skirmunta (1798-1870), który jest uznawany za twórcę przemysłu na Polesiu (Aleksandr Skirmunt (1798-1870) wybudował na Polesiu w 1830 roku cukrownie, fabrykę sukna, nowoczesną gorzelnie, posiadał dużą wiedzę i doświadczenie przy uprawie winogron – red.).

Ten napój z pewnością w pełni zasługuje na nazwę «białoruski koniak», gdyż cały cykl produkcyjny począwszy od winnicy do butelkowania odbywa się w pińskim zakładzie produkcji win.



Jak dobrze móc ukochać piękno własne ziemi
i ziemię tę na zawsze w sercu nosić.

Jan Wójcik